

KOLEJ na papierze, płótnie...



Akwarela Zbigniewa Sułkowskiego

**Dzwon Pamięci
uderzył po raz pierwszy**

**Pomnik monument
obecny pośród nas**

**Jubileusz 45-lecia
limanowskiego GOPR**

**Szlaki Papieskie
w Beskidzie Wyspowym**

**Upalne lato w śniegu i lodzie
- Elbrus 2012**

**Z kart historii starowiejskiego dworu
i limanowskiego ogrodu cz. II**

**Nowe odkrycie
- pierwsi limanowscy aptekarze,
rodzina Müllerów**

Poznaniacy w Limanowej



PAMIĘCI
OBYWATELI
RZECZYPOSPOLITEJ
POLSKIEJ
OFIAR
ZBRODNI KATYŃSKIEJ
ARESZTOWANYCH
PO 17 WRZEŚNIA
1939 ROKU PRZEZ
SOWIECKIE NKWD
I ZAMORDOWANYCH
NA MOCY DECYZJI
NAJWYŻSZYCH
WŁADZ ZSRR
Z DNIA 5 MARCA
1940 ROKU

Ppor. rez.
**Stanisław Alojzy
NOWAK**
ur. 27.04.1894, Brody
12 pal
dr praw
starosta pow. Limanowa

Fotografie: Andrzej Harassek



I TYLKO PAMIĘĆ ZOSTAŁA
PO TEJ KATYŃSKIEJ NOCIE
PAMIĘĆ NIE DAŁA SIĘ ZGŁADZIĆ
NIE CHCIAŁA ULEC PRZEMOC
I WOŁA O SPRAWIEDLIWOŚĆ
I PRAWDĘ PO ŚWIECIE NIESIE
FELIKS KONARSKI
/REF. REW/
BYKOWNIA, ANNO DOMINI 2011



Dzwon Pamięci uderzył po raz pierwszy

Ppor. rez. Stanisław Alojzy Nowak

Prezydent RP Bronisław Komorowski i Federacja Rodzin Katyńskich we wrześniu 2012 roku zaprosili rodziny ofiar katyńskich z tzw. listy ukraińskiej do uczestnictwa w uroczystości otwarcia Polskiego Cmentarza Wojennego w Bykowni na Ukrainie. Zaproszenie otrzymali również mieszkańcy Limanowej: Barbara Szewczyk (Harassek) – córka Stanisława Alojzego Nowaka, ostatniego limanowskiego starosty w latach 1937-1939 oraz wnuk Andrzej (syn Barbary). Są oni członkami Stowarzyszenia Rodzin Ofiar Katynia Polski Południowej w Krakowie od 1990 roku.

Ze względów zdrowotnych z udziału w uroczystościach musiała zrezygnować Barbara Szewczyk, w zastępstwie której udała się na uroczystości otwarcia i poświęcenia cmentarza w Bykowni synowa Jadwiga wraz z mężem Andrzejem.

Grupa około 200 krewnych ofiar mordu katyńskiego, a wśród nich Jadwiga i Andrzej Harasskowie z Limanowej – 20 września 2012 r. z Warszawy do Kijowa wyjechała pociągiem specjalnym na uroczystości odsłonięcia memoriału, który wzniesiony został w miejscu pochówku dziesiątek tysięcy ludzi zamordowanych przez sowieckie organa represji.

Tragiczne losy swoich ojców i dziadków zamordowanych w 1940 r. przez sowieckie NKWD na Ukrainie, nocne aresztowania i bezskuteczne próby nawiązania kontaktu z rodziną, wspominali krewni ofiar NKWD z 1940 r. w drodze do Kijowa – Bykowni na Ukrainie. Andrzej Harassek podkreśla, że uroczystość w Bykowni była dla niego ogromnym

przeżyciem i realnym pogrzebem dziadka Stanisława Nowaka, którego historię poznawał przez wiele lat z przekazu matki oraz z dokumentów zachowanych w zbiorach rodzinnych przez babcię Marię.

W alei z tablicami epitafijnymi pomordowanych przy tablicy nestora rodziny Nowaków, wnuk złożył gałązkę wrzosu symbol przetrwania i zapalił znicz. Do Limanowej z terenu tej nekropolii przywiózł garść symbolicznej ziemi, którą złożył na limanowskim parafialnym cmentarzu na grobie żony Stanisława, Marii Nowak.

Fotografie u góry: Centralnym elementem nekropolii jest ściana ołtarza z krzyżem pośrodku, na której wyryto nazwiska ofiar z tzw. ukraińskiej listy katyńskiej.

Poniżej: Fragment ściany z napisem: Stanisław Alojzy Nowak.



Aleja okalająca cmentarz z tabliczkami epitafijnymi ofiar.



Andrzej Harassek przed tablicą epitafijną dziadka S. A. Nowaka.

W rodzinie o Stanisławie Nowaku mówiło się zawsze, był żywą legendą. Wspominała Go żona Maria, opowiadając o nim córce Barbarze, która praktycznie nie знаła ojca (miała roczek, gdy został aresztowany), a z zaciekawieniem słuchała tych opowiadań wnuk Andrzej. Nie trudno więc było mu przekazać posiadaną wiedzę w czasie przesłuchania w Instytucie Pamięci Narodowej Oddział Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Krakowie – 4 kwietnia 2005 roku. Protokół z tego przesłuchania liczy siedem stron i jest dokumentem opisującym losy życia Stanisława Alojzego Nowaka.

Podczas przesłuchania Andrzej Harassek od prokurator prowadzącej uzyskał informację, że dziadek został zamordowany w okolicach Kijowa, a nie jak rodzina przypuszczała w Katyniu. Otrzymał także kopię dokumentu z badań prowadzonych przez pracowników IPN, z którego wynika w sposób nie budzący wątpliwości, że po wielu latach poszukiwań zostało określone miejsce zbrodni Stanisława Alojzego Nowaka.

Pracownicy IPN ustalili na podstawie analizy kodu, że 3435 polskich obywateli więzionych w Kijowie na Ukrainie zostało straconych na podstawie 33 list dyspozycyjnych zakodowanych od numeru 041/1 do 072/2, średnio po 104 nazwiska na liście. W opublikowanym przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w 1995 roku dokumencie zatytułowanym „Ukraiński ślad Katynia” na liście 042/2 w pozycji 32 znajduje się następujący zapis:

Nowak Stanisław Alojzy s. Ignacego i Heleny ur. 27 kwietnia 1894 r. w Brodach ppor. art. rez., dr działacz Związku Strzeleckiego (komp. czyn. nr 1809, Tarnopol), starosta w Limanowej.

Tak więc po latach poszukiwań przez bliskie jemu osoby zostało ustalone miejsce stracenia Stanisława Alojzego Nowaka, ostatniego starosty limanowskiego.

W Kijowie – Bykowni na Ukrainie, gdzie znajduje się Polski Cmentarz Wojenny upamiętniający ponad 3,4 tys. ofiar zbrodni katyńskiej polscy badacze podczas ekshumacji w latach 2001 – 2012 wydobyli szczątki 1980 polskich obywateli zamordowanych przez NKWD wiosną 1940 roku.

Wśród 210 mogił na terenie Bykowni 70 z nich to wyłącznie polskie jamy grobowe. Prawie 2 tys. osób zamordowanych w zbrodni katyńskiej pochowanych w Bykowni to największa część osób z tzw. ukraińskiej listy katyńskiej zawierającej 3435 imion i nazwisk polskich obywateli, wśród których znajduje się Stanisław Alojzy Nowak, ostatni starosta limanowski zamordowany przez władze sowieckiej Rosji.

Wszystkie szczątki polskich ofiar uroczystie pochowano w jednym miejscu położonym w samym sercu Polskiego Cmentarza Wojennego w Bykowni pod Kijowem, który jest czwartą nekropolią katyńską, po Cmentarzach w Lesie Katyńskim, Charkowie i Miednoje.

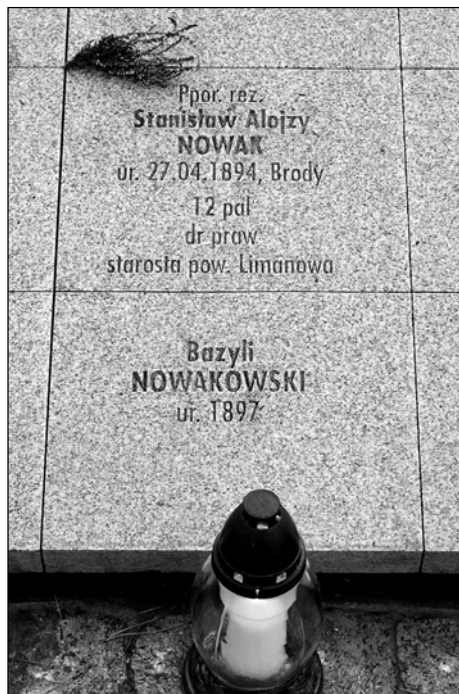
Ten właśnie cmentarz 21 września 2012 roku otworzyli prezydenci Polski i Ukrainy.

W uroczystości wzięli udział krewni ofiar, członkowie Federacji Rodzin Katyńskich przedstawiciele władz państwowych oraz duchowni. Po ceremonii otwarcia rozpoczęła się Msza św., której przewodniczył Prymas Polski abp Józef Kowalczyk, a homilię wygłosił biskup połowy Wojska Polskiego Józef Guzek.

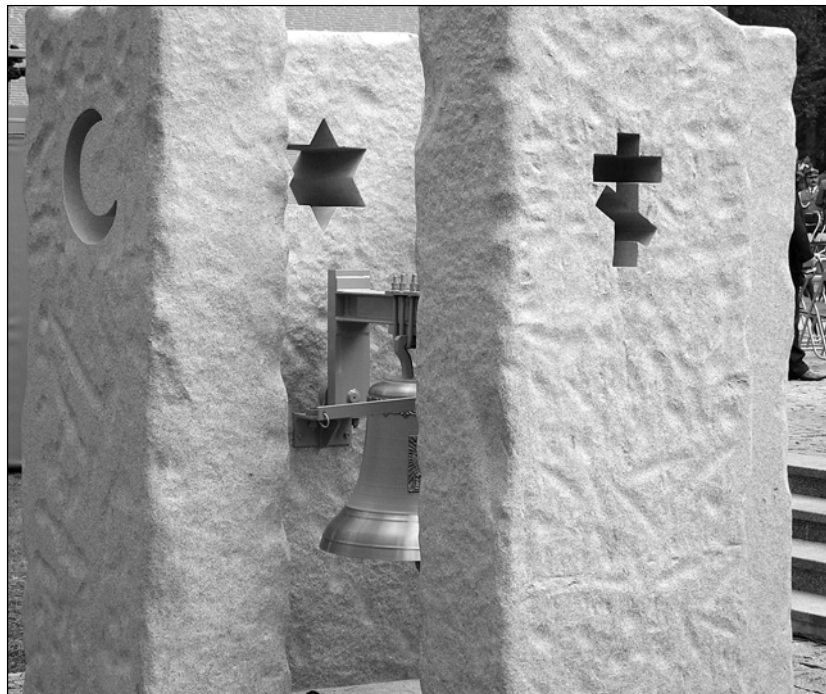
Ścianę z nazwiskami pomordowanych oraz cmentarz poświęcił biskup połowy, natomiast Dzwon Pamięci – abp Józef Kowalczyk – Prymas Polski.

Biskup połowy WP ks. bp Józef Guzek przypomniał, że prawda o zbrodni była przez wiele lat ukrywana i zakłamywana: *Katom nie wystarczyła śmierć zadana strzałem w tył głowy. Pozbawiono was nawet chrześcijańskiego pogrzebu. A potem przez wiele lat źli ludzie usiłowali popełnić drugą zbrodnię, chcieli zatrzeć ślady tej pierwszej i zabić prawdę o waszych marzeniach, o wolnej Polsce i dodał: „bieżąca polityka i doraźne interesy wielkich mocarstw kazały zapomnieć o tej tragicznej zbrodni – świat milczał, wielkie mocarstwa kłamały, a prawdzie kaza-no stać za drzwiami.*

Ordynariusz wojskowy przypomniał również, że oprócz Rodzin Katyńskich to Kościół był depozytariuszem prawdy o tej zbrodni i dodał: *Katolickie świątynie długo były jedynym miejscem upamiętnienia waszego męczeństwa.*



Wnuk Andrzej przy tablicy dziadka zapalił symboliczny znicz i złożył gałązkę wrzосу.



Dzwon Pamięci zawieszony na kamiennych słupach z religijnymi symbolami ofiar wyznania: katolickiego, prawosławnego, judaistycznego oraz muzułmańskiego).

To w nich umieszczano pamiątkowe tablice oraz urny z ziemią z katyńskiego lasu i innych miejsc pochówku. Tam zapalano znicze i zanoszono modlitwy do Boga.

Następnie na wspólnej polsko – ukraińskiej części cmentarza złożyli pod pomnikami wieńce prezydenci Polski i Ukrainy, a potem odegrane zostały hymny państwowe.

Takie same sosny, taki sam las, fragment tej samej zbrodni jaką czcimy i wspominamy w Katyniu. Trudno zatem oddać słowami to, co my Polacy czujemy w tak wyjątkowym miejscu i tak wyjątkowej chwili. Długo czekaliśmy na ten moment wierząc, że musi on nadejść - mówił prezydent RP Bronisław Komorowski. Podkreślił również: wyjątkowość zbrodni polegała na tym, że ofiar chciano pozbawić nie tylko życia, ale i najskromniejszego nawet pochówku oraz pamięci(...).

Prawdy zbrodni katyńskiej broniły zwłaszcza rodziny ofiar i za tę obronę chciałbym w imieniu całej Polski z całego serca podziękować. Dzięki państwu ta prawda mocno zakorzeniła się w narodowej pamięci i legła u fundamentów odrodzonej w 1989 roku wolnej demokratycznej solidarnej ojczyzny – podkreślał prezydent Komorowski.

Otwarcie cmentarza jest spełnieniem obowiązku nie tylko wobec zmarłych, ale również wobec przyszłych pokoleń – powiedział prezydent

Ukrainy Wiktor Janukowycz. Wyraził współczucie narodowi polskiemu i rodzinom ofiar – *Chylę przed nimi czoło. Niech wszechmogący Bóg zachowa ich dusze w pokoju* – powiedział.

Dziś, gdy otwieramy cmentarz w Bykowni, stajemy w tym tragicznym miejscu, wiemy, że za wierność Niepodległa Rzeczypospolita odplaca pamięcią wykutą w kamieniu. Wybraliśmy biały granit, aby pokazać, że ich ofiara nie była daremna – powiedział dr Andrzej Kunert, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walki i Męczeństwa, kontynuując powiedział: *Jesteśmy dumni, że mogliśmy wziąć w tym upamiętnieniu udział. Zwracam się do tych 3435 pomordowanych. Nie jesteście już anonimowi, macie swoje miejsce, swoje imiona, śpijcie w pokoju (...).*

Odczytanie apelu pamięci, salwa honorowa oraz złożenie wieńców i zniczy na grobach zakończyło uroczystości w Bykowni.

Prezydent Bronisław Komorowski uruchomił po raz pierwszy znajdujący się na cmentarzu Dzwon Pamięci.

O wielowyznaniowym charakterze cmentarza przypominają symbole religii katolickiej, prawosławnej, żydowskiej oraz muzułmańskiej umieszczone u jego bramy, są to krzyże łaciński i prawosławny, gwiazda Dawida i półksiężyc. Przy wejściu, obok kolumn z wyrzeźbionymi orłami, znajduje się tablica:

Tu spoczywają obywatele II RP zamordowani przez sowieckie NKWD na terenie Ukrainy w 1940 roku.

Centralnym elementem nekropoli jest ściana ołtarzowa z krzyżem pośrodku z białego kamienia, na której wyryto nazwiska ofiar z tzw. ukraińskiej listy katyńskiej. Obok bramy i ołtarza znajdują się tablice ze znakami symbolizującymi cztery religie: chrześcijaństwo, prawosławie, judaizm i islam oraz charakterystyczny dla tego miejsca Dzwon Pamięci. Ponadto w alejce okalającej cmentarz rozmieszczono 3435 indywidualnych tabliczek - epitafiów ofiar, które zawierają m. in. stopień wojskowy, datę i miejsce urodzenia, przydział służbowy, zawód, funkcję państwową lub społeczną.

Historia polskiego cmentarza wojennego w Kijowie – Bykowni (czwartego cmentarza katyńskiego).

Pierwsze informacje o masowych pochówkach w lesie Bykowni podał niemiecki dziennikarz Piotr Kolmus, który napisał o tym w artykule zamieszczonym w „Berliner Boerien Zeitung” 25 września 1941 roku.

Jesienią 1941 roku i wiosną 1942 roku prace ziemne w lesie bykowieńskim prowadzone były z nakazu administracji niemieckiej. Władze okupacyjne zdecydowały nawet o upamiętnieniu w tym miejscu ofiar, ale rozpoczętych prac nie ukończono. Po uwolnieniu Kijowa w 1943 r. zielony parkan ogradzający teren

został rozebrany, a na miejscu tajemniczego cmentarza pojawiły się młode drzewa. Można było odnieść wrażenie, że sama przyroda stara się zapomnieć wszystko to, co przypominało o tragedii bykowskiej, ale ludzka pamięć uczynić tego nie mogła.

Po 1945 roku władze sowieckie przekonywały mieszkańców Ukrainy, że w Bykowni zostały pochowane ofiary „reżymu faszystowskiego”.

W 1971 r. na terenie lasu w Bykowni KGB prowadziło prace, których celem było zatarcie zbrodni stalinowskich i utrudnienie identyfikacji ofiar. W 1994 r. Służba Bezpieczeństwa Ukrainy przekazała polskim prokuratorom kopie tzw. ukraińskiej listy katyńskiej. Był to wykaz więziennych akt osobowych 3435 aresztowanych polskich obywateli wysłanych w listopadzie 1940 r. przez NKWD z Ukrainy do centrali NKWD w Moskwie.

Udostępnione listy umożliwiły poszukiwanie szczątków w drodze prac archeologicznych – ekshumacyjnych. Prace te prowadzone na zlecenie Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa przez ekspedycje pod kierownictwem prof. Andrzeja Koli trwały w Bykowni od roku 2001 do 2011 r.: od 15 października do 3 listopada 2001 r. – pierwszy etap przyniósł zlokalizowanie 41 dołów śmierci polskich ofiar z lat 1937–1938; od 7 lipca do 30 września 2006 r. – drugi etap: 21 mogił ze szczątkami polskich ofiar z 1940 r.; od 31 lipca do 30 września 2007 r. – trzeci etap: 33 doły. Z tych 54 polskich mogił wyekshumowano szczątki 1488 osób, których uroczysty pochówek w grobie zbiorowym miał miejsce 27 października 2007 r. W trakcie prac archeologicznych w 2011 r. z 15 polskich mogił wyekshumowano szczątki 492 osób. Zatem w sumie z 69 grobów polskich udało się wydobyć szczątki co najmniej 1980 osób.

Ostatecznie prace zostały zakończone 22 lipca 2012 roku.

Dzięki pracom archeologów udało się potwierdzić, że na terenie Bykowni pogrzebano ofiary zbrodni katyńskiej, znajdujące się na tzw. ukraińskiej liście katyńskiej.

Informacja o tragicznym losie pochowanych w Bykowni nie tylko polskich, ale również ukraińskich i innych narodowości ofiar sowieckiego terroru, nagłośniła wizyta w tym miejscu papieża Jana Pawła II, który odwiedził Bykownię 24 czerwca 2001 r.



Prezydenci: Bronisław Komorowski i Wiktor Janukowycz składają wieńce pod krzyżem na Polskim Cmentarzu Wojennym w Kijowie - Bykowni.



Realna możliwość wybudowania Polskiego Cmentarza Wojennego w Bykowni pojawiła się w drugiej połowie 2010 r. wobec przychylniej postawy nowych najwyższych władz Ukrainy.

Kamień węgielny pod budowę cmentarza został wmurowany 28 listopada 2011 roku przez prezydentów Polski i Ukrainy.

Polski Cmentarz Wojenny w Kijowie – Bykowni (Czwarty Cmentarz Katyński) został uroczystie otwarty i poświęcony 21 września 2012 r. Wreszcie po 72 latach od zbrodniczej decyzji Stalina, w wyniku której zginęli aresztowani działacze konspiracyjnych organi-

zacji, oficerowie niezmobilizowani w wrześniu 1939 r., urzędnicy państwowi i samorządowi, rodziny mogą oddać im hold w miejscu pochowania.

Stanisław Ociepka
Fotografie: Andrzej Harassek

Artykuł został opracowany na podstawie rozmowy z Andrzejem Harasskiem, wnukiem Stanisława Alojzego Nowaka oraz biuletynu „Polski Cmentarz Wojenny w Kijowie - Bykowni (czwarty cmentarz katyński), autorstwa Andrzeja Krzysztofa Kunerta, Adama Siwka, Zygmunta Walkowskiego, wyd. Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w ramach Nekropolie Narodowe, Warszawa 2012 r.

Pomnik monument obecny pośród nas

Stanisław Ociepka

W związku z przebudową ciągu komunikacyjnego przy ulicy Matki Boskiej Bolesnej, został rozebrany pomnik „Nieznanego Żołnierza”, który stał w tym rejonie. W ostatnich miesiącach ubiegłego roku rozgorzała dyskusja, gdzie umieścić historyczny dla Limanowej pomnik, wyrażający **pamięć** Nieznanemu Żołnierzowi Polskiemu poległemu za Ojczyznę i na **pamiętkę** 100. rocznicy Powstania Listopadowego.

Obecnie zasadniczym pytaniem jest: czy monument ten należy pozostawić w historycznym dla niego miejscu, dziś jest to rejon powstałego ronda, czy umieścić go gdzie indziej.

Stanowisko tzw. grupy inicjatywnej jest jednoznaczne. Pomnik – monument musi być obecny pośród nas. Należy więc usytuować go ponownie w tym samym miejscu, czyli na tarczy ronda. Przemawia za tym wiele aspektów o wartościach historyczno – patriotycznych oraz urbanistycznych. Jest to więc zadanie zasadnicze do wykonania po ukończeniu przebudowy ciągu komunikacyjnego w tym rejonie.

Przeciwnicy takiego rozwiązania - mówiąc delikatnie - nie starają się zrozumieć przedstawianych wyraźnych, przejrzystych i fachowych argumentów proponowanych przez grupę inicjatywną i odrzucają propozycję powrotu pomnika na jego historyczne miejsce, obecnie rondo przy zbiegu ulic: Matki Boskiej Bolesnej, Targowej i Moniuszki, używając przy tym bezsensownych uzasadnień.

Populistyczne ich wypowiedzi zarówno w prasie regionalnej, w Internecie czy listach skierowanych do władz samorządowych Limanowej nie mają żadnego racjonalnego uzasadnienia i nie warto by z nimi polemizować, gdyby nie fakt, że informacje podawane przez te osoby są nieprawdziwe. Takie wypowiedzi wprowadzają w błąd niezdecydowanych limanowian.

Aby właśnie tym mieszkańcom naszego miasta ułatwić zrozumienie problemu i odpowiedzieć na pytanie, czy dążenie inicjatywnej grupy do umieszczenia pomnika na tarczy ronda jest rozwiązaniem nowatorskim jedynym swego rodzaju i wyjątkowym dla Limanowej, posłużę się wybranymi kilkoma przykładami takich rozwiązań w Polsce. Być może konkretne przykłady bardziej zobrazują i uświadomią wszystkim, że takie rozwiązania stosowane są często. A umieszczenie na tarczach rond: pomników, kolumn promocyjnych, obelisków czy pamiątkowych głazów jest powszechnym rozwiązaniem. Tak jest zarówno w miastach dużych, przy istotnych trasach komunikacyjnych i rozległych skrzyżowaniach dróg, jak również w małych miasteczkach oraz wzdłuż tras prowadzących do znanych miejscowości turystycznych.

Przyjrzyjmy się więc estetycznie zagospodarowanym rondom, aby pokazać pseudo „znawcom”, którzy twierdzą, że tego typu rozwiązanie stanowi zagrożenie dla ruchu drogowego, że to jest twierdzenie nieprawdziwe.

Wybrane zaś przykłady niech będą ilustracją udowadniającą, że estetycznie zagospodarowane przestrzenie na rondach przez ustawienie na ich tarczy pomników czy pamiątkowych



Pomnik „Nieznanego Żołnierza” w Limanowej na swoim pierwotnym miejscu.

głazów umożliwia na co dzień obcowanie z tymi architektonicznymi obiektami, a przede wszystkim pozwala wpisać w świadomość społeczeństwa wartości, które symbolizują te monumenty.

Przykładem pierwszym niech będzie pomnik „Polski Walczącej” w Legionowie, którego historia jakże podobna jest do pomnika „Nieznanego Żołnierza” w Limanowej.

Pomnik „Polski Walczącej” zlokalizowany jest na środku ronda, dziś im. Armii Krajowej, na skrzyżowaniu ulic: Batorego, Żeromskiego i Siemiradzkiego w Legionowie. Pomnik ma kształt stalowego klina z wytłoczonym znakiem (kotwicą) Polski Walczącej, rozcinającym kamienne płyty z datami 1939–1944 i 1944–1989. Pomnik ten obrazuje dwa okresy zmagania, symbolizujące w tych latach walkę o wolność i suwerenność Polski. Jego projektantem jest Andrzej Bissenik – prof. Akademii Sztuk Plastycznych w Warszawie. ▶



Pomnik „Polski Walczącej” na rondzie im. Armii Krajowej w Legionowie.

► Historia pomnika „Polski Walczącej” w Legionowie sięga wczesnych lat powojennych. Po II wojnie światowej, na obecnym rondzie Armii Krajowej, wzniesiony został przez społeczność miasta krzyż brzozy z tablicą epitafijną, na której umieszczono nazwiska poległych w walkach wyzwolńczych i poniesionych ofiar szczególnie w Powstaniu Warszawskim. Przez pewien czas oficjalne uroczystości patriotyczne odbywały się przy tym krzyżu. Krzyż ten wraz z ogrodzeniem został zlikwidowany w latach 70-tych, a samo rondo, aż do 22 maja 1994 roku, to jest do dnia wzniesienia pomnika „Polski Walczącej” było zaniedbane. Dziś jest miejscem uroczystości patriotycznych społeczeństwa Legionowa.

Oto inne przykłady. „Pomnik lotnika” na rondzie przy głównej trasie prowadzącej do portu lotniczego Warszawa–Okęcie u zbiegu Trasy Łazienkowskiej Alei Żwirki i Wigury oraz ul. Wawelskiej i Raszyńskiej. Lokalizacja pomnika została wybrana z myślą o uhonorowaniu pierwszego lotniska w Warszawie, które do 1937 r. mieściło się na Polu Mokotowskim. Odsłonięcie monumentu w tym miejscu odbyło się 9 września 1967 roku. Pierwszym jego miejscem był plac Unii Lubelskiej. Tu 11 listopada 1932 roku odsłonił go Józef Piłsudski. Piętnastometrowy monument (cokół – 9 m i rzeźba – 6 m) został zaprojektowany w 1923 roku przez Edwarda Wittiga – prof. Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie oraz Politechniki Warszawskiej w latach 1914–1920.

Pomnik nawiązuje do wygiętego w łuk muru pomnika Lotników Polskich na lotnisku Northolt pod Londynem. Symbolizuje trzy samolotowe smugi na niebie, które mają formę łuków wyraźnie wzbijających się w przestworza. Na dziewięćmetrowym cokole z jasnoszarego granitu śląskiego znajduje się wyrzeźbiona lotnicza szachownica. Postać pilota wspartego o śmigło stanowi brązowy, sześciometrowy odlew o wadze pięciu ton. Tak okazałych rozmiarów piękny pomnik nie stanowi zagrożenia dla kierowców.





Monument Armii Krajowej na rondzie gen. Stefana Grot-Roweckiego w Kwidzynie.

Fotografie poniżej: Pomnik Lotnika na rondzie przy głównej trasie prowadzącej do portu lotniczego Warszawa-Okecie, u zbiegu Trasy Łazienkowskiej, Alei Żwirki i Wigury oraz ul. Wawelskiej i Raszyńskiego.



Rondo
Gen. Stefana Grot-Roweckiego

Pomnik-rzeźba „Drzewo Solidarności” na rondzie Solidarności w Łodzi odsłonięty w 2005 roku, jest z metalu, zaprojektowany został przez Jacka Ojzanowskiego. W tle pomnika znajduje się kościół św. Teresy od Dzieciątka Jezus i św. Jana Bosko. Rondo Solidarności w Łodzi jest jednym z bardziej skomplikowanych węzłów drogowych łączących dwie aleje i trzy ruchliwe ulice tego miasta.





Na rondach umieszczane są tzw. „kolumny promocyjne”. **Powyżej:** Na rondzie „Róży Wiatrów” w Charzykowie na cokole umieszczono rzeźbę łodzi. **Z prawej:** W Chojnicach na rondzie „Strzelca” umieszczono na kolumnie figurę Strzelca. Fotografie z Internetu.



Monument Armii Krajowej w Kwidzynie na rondzie gen. Stefana Grota – Roweckiego u zbiegu ulic: Chopina i Kościuszki został odsłonięty w 2009 roku. Stanowi on pamiątkową kamienną tablicę poświęconą twórcy Armii Krajowej. Po jej lewej stronie wyryte są słowa, które stanowią fragment przysięgi składanej przez każdego żołnierza Armii Krajowej, a po stronie prawej znak Polski Walczącej. Obok znajduje się neogotycki budynek dworca kolejowego z II połowy XIX wieku.

W ciągu komunikacyjnym na drodze łączącej Chojnice z miejscowością Charzykowy w latach 2007-2008 zostały wybudowane dwa ronda. Na tarczach tych rond zostały posadzone tzw. „kolumny promocyjne” zwieńczone rzeźbami tematycznie związanymi z ich usytuowaniem.

W Chojnicach przy ulicach: Strzeleckiej i Zielonej na rondzie „Strzelca”, znajduje się na kolumnie figura Strzelca, zaś w Charzykowie przy zbiegu ulic: Długiej i Turystycznej na rondzie „Róży Wiatrów” na wysokim cokole umieszczono rzeźbę łodzi (jacht z ożaglowaniem kutrowym).

I na koniec sięgnijmy po przykłady najbliższej Limanowej.

Przy wjeździe do Nowego Targu od strony wschodniej na rondzie Jana Pawła II, u zbiegu alei Tysiąclecia i Jana Pawła II usytuowana jest przestrzenna forma kamienna, głaz poświęcony papieżowi Polakowi – Honorowemu Obywatelowi N. Targu, na pamiątkę spotkania z ludźmi Podhala w 1979 roku.

Na obelisku znajdowały się tablice z herbem papieskim oraz płaskorzeźba św. Katarzyny Aleksandryjskiej patronki Nowego Targu (tablice zostały skradzione 25 września 2012r.). Odlewy autorstwa Michała Batkiewicza zostały zamontowane w czerwcu 2006 roku.

Myślenice - na dwóch rondach umieszczone są pamiątkowe obeliski. Na skrzyżowaniu ul. Słowackiego z drogą prowadzącą w kierunku Osieczna na rondzie im. Lecha Kaczyńskiego 18 czerwca 2012 roku, został usytuowany obelisk poświęcony pamięci tragicznie zmarłego prezydenta. Na pomniku widnieje napis „Rondo im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego”, obok jest orzeł w koronie i biało-czerwona szachownica. Rzeźba jest dziełem Jana Funka.



Na skrzyżowaniu ulic: Piłsudskiego i Mostowej na rondzie im. pierwszego Marszałka Województwa Małopolskiego Marka Nawary usytuowano pamiątkowy kamień z napisem „Rondo im. Marszałka Marka Nawary”.

To tylko niektóre wybrane przykłady rond, gdzie umieszczono różnego rodzaju dowody pamięci wobec wydarzeń lub osób, którym winniśmy wyrażać należny szacunek.

W czasach ogólnego dostępu do Internetu każdy może sam zgłębić dokładniej omawiany temat. Dlatego nie zrozumiały stał się fakt i zdumiewa, że w publicznej dyskusji niektórzy posługują się argumentacją co najmniej wątpliwą, nie sprawdzając prawdziwości wypowiedzianych przez siebie słów. Chyba, że chodzi o czynienie trudności w dążeniu do powrotu pomnika „Nieznanego Żołnierza” na jego historyczne miejsce, dziś rondo przy ulicy Matki Boskiej Bolesnej, które można by nazwać „Rondem Powstania Listopadowego” bądź „Rondem Niepodległości”.

Fotografie: Andrzej Kulig (Warszawa), Aleksander Łubiński (Kwidzyn), Piotr Jagniewski (Myślenice).

Serdecznie dziękuję za udostępnienie fotografii przez Wydziały Promocji w Urzędach Miast: Chojnice, Kwidzyn, Legionowo, Myślenice.



Obelisk na rondzie im. Lecha Kaczyńskiego na drodze prowadzącej z Myślenic w kierunku Osieczna.



Z lewej: Rondo Ptolemeusza w Kaliszu.

Poniżej: Na rondzie im. prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Rumii (miasto i gmina w województwie pomorskim w powiecie wejherowskim liczące 44 tys. mieszkańców), stoi pomnik w kształcie flag ułożonych podobnie do skrzydeł samolotu. Fotografie z Internetu.



Limanowska Gala

Już po raz ósmy 9 listopada 2012 odbyła się Limanowska Gala Przedsiębiorczości, pod honorowym patronatem marszałka Województwa Małopolskiego Marka Sowy.

Uroczystość ta jest świętem przedsiębiorców, jak również okazją do podsumowania konkursu skierowanego do przedsiębiorców. Konkurs rozstrzygany jest w kategoriach: Lider Biznesu Powiatu Limanowskiego, Inicjatywa Gospodarcza Roku, Mikroprzedsiębiorca Roku. W tym roku po raz pierwszy wręczone zostały statuetki Przyjaciela Powiatu Limanowskiego, a także za działalność charytatywną wśród lokalnej społeczności.

Organizatorami Gali tradycyjnie byli: Powiat Limanowski, Powiatowy Urząd Pracy w Limanowej i Regionalne Stowarzyszenie Przedsiębiorczości.

Na tegoroczną Galę przybyli m. in.: Władysław Kosiniak Kamysz – Minister Pracy i Polityki Społecznej, Andrzej Haręźlak – wicewojewoda Małopolski, ks. bp Andrzej Jeż – Ordynariusz Tamowski oraz przedsiębiorcy z powiatu limanowskiego.

Stanisław Gągała – prezes Regionalnego Stowarzyszenia Przedsiębiorczości w Limanowej powiedział: *Gala Przedsiębiorczości jest traktowana jako święto przedsiębiorców, które jest okazją, by nagrodzić najlepsze firmy, zbudowane od podstaw przez ludzi z charyzmą. Ludzi odważnych, przedsiębiorczych, ludzi, którzy w niewątpliwie trudnych czasach robią to, co umieją najlepiej. Dodaje: Wiele firm, które zostały nagrodzone we wcześniejszych edycjach, nie tylko utrzymuje pozycje na rynku, ale w dalszym ciągu się rozwija.*

Podczas tegorocznej Gali Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski zostali uhonorowani Wiesław Żółtowski i Stanisław Gągała – prezes firmy „Gold Drop”. Za zasługi w działalności na rzecz społeczności lokalnej Srebrnym Krzyżem odznaczeni zostali Marek Czamara i Agata Żądło.

Gala Przedsiębiorczości to przede wszystkim wyróżnienia i nagrody dla przedsiębiorców, które w tym roku otrzymali: Statuetkę Mikroprzedsiębiorcy Roku firma „Martext” – Biuro Tłumaczeń, Marty Florek z Mszany Dolnej, a tytuł Lidera Biznesu Powiatu Limanowskiego w kategorii „Małe Przedsiębiorstwo” firma „Carox Oleksy, Szewczyk” z Męciny. W tej kategorii rozdano „Diamenty”. Pierwszy otrzymała Drukarnia Malinowa z Limanowej, drugi trafił do firmy „Komplex” z Janowic, natomiast trzeci otrzymała firma „Lather – Kaz” z Kamienicy.



Kandydaci w kategorii Inicjatywa Gospodarcza roku 2012. Laureatem został Rafał Stabrawa (stoi drugi z prawej) Usługi Rehabilitacyjne Niepublicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej „REHSTAB” w Limanowej.



Dekoracji Wiesława Żółtowskiego i Stanisława Gągały dokonali Władysław Kosiniak-Kamysz - Minister Pracy i Polityki Społecznej oraz Andrzej Haręźlak - wicewojewoda małopolski.

Tytuł Lidera Biznesu w kategorii „Średnie Przedsiębiorstwa” otrzymało Przedsiębiorstwo Handlowo – Usługowo – Montażowe „Midrew II” – Pawła Piechury z Młynego, zaś w kategorii „Duże Przedsiębiorstwa” firma „Limlach”. W tej kategorii przyznano również „Diamenty”. Pierwszy trafił do Banku Spółdzielczego w Limanowej, drugi do firmy „Partner ALMA” z Limanowej, a trzeci do Przedsiębiorstwa Produkcyjno – Usługowo – Handlowego „Wolimex” z Limanowej. Złota Statuetka Lidera Biznesu trafiła do Firmy Handlowo Usługowej „Gracja”. Laureatem w kategorii Inicjatywa Gospodarcza Roku został Rafał Stabrawa, który prowadzi oddział rehabilitacji w Limanowej.

Samorządność oznacza nie tylko tych, którzy są wybierani, ale również, a może przede wszystkim tych, którzy nas wybierają. Samorząd to lokalna wspólnota wszystkich mieszkańców i każdy w tej wspólnocie ma swój znaczący udział. Przyznanie statuetki „Przyjaciel Powiatu Limanowskiego” jest wyrazem uznania dla wszystkich, którzy tworzą naszą lokalną społeczność i kształtują pozytywny wizerunek powiatu limanowskiego – powiedział Jan Puchała, starosta limanowski.

Statuetka Przyjaciela Powiatu została przyznana: ks. bp. Andrzejowi Jeżowi – Biskupowi Tarnowskiemu za opiekę i ciągłe wsparcie duchowe, wielką życzliwość dla limanowian i mieszkańców całego regionu, Czesławowi Szynalikowi z Mszany Dolnej za szczególnie wkład w rozwój i promocję aktywnych form wypoczynku, który jest pomysłodawcą akcji „Odkryj Beskid Wyspowy” i organizatorem Olimpiady Notarialnej. Wyróżnienie to otrzymał także Auto – Moto – Klub w Limanowej, które odebrał prezes Jerzy Budacz, za organizację Górskich Samochodowych Mistrzostw Polski, „Limanowa – Przełęcz pod Ostrą”.

Podczas Gali wręczona została również statuetka – za działalność charytatywną; przyznawana jest ona tym osobom, które poprzez swoje działania wspierają pokrzywdzonych przez los. Otrzymali ją: ks. prałat Józef Leśniak z Tymbarku związany ze Stowarzyszeniem na Rzecz Osób Niepełnosprawnych oraz Gerard Duijn – Holender mieszkający od 9 lat w Mszanie Dolnej. Korzystając ze swoich kontaktów, sprowadza sprzęt rehabilitacyjny dla niepełnosprawnych.

Podczas Limanowskiej Gali Przedsiębiorczości głos zabrał Władysław Kosiniak – Kamysz, Minister Pracy i Polityki Społecznej, który m. in. powiedział: *Dzisiejsze uroczystości są wyrazem uznania, wyróżnienia, ale także zasługą ciężkiej pracy i o tym zawsze musimy pamiętać. Po pierwsze przedsiębiorcy mieli pomysł, po drugie mieli odwagę i zaryzykowali. Założyli własną firmę, zatrudniając ludzi, realizują się i są zadowoleni (...). Pan starosta Jan Puchała odwoływał się do pozyskanych dodatkowych środków, a ja podkreślę, ważne jest pozyskać takie środki to jedno, ale muszą być ludzie, którzy potrafią je efektywnie wydać. Dlatego ogromnie się cieszę, że tu w Limanowej – są ludzie przedsiębiorczy, ludzie otwarci, ale przede wszystkim ludzie gotowi realizować swoje marzenia. Jest ta współpraca i partnerstwo lokalne, pomiędzy przedsiębiorcami, samorządem i urzędem pracy i są wyróżnienia dla najlepszych, bardzo cieszę się, że także młodzi ludzie są doceniani (...).*

Limanowską Galę Przedsiębiorczości zakończył występ artystek: Sylwii Zelek oraz Wili Ścianek.

Opracował: Stanisław Ociepka

Fotografie: arch. Starostwa Powiatowego w Limanowej



Statuetkę Mikroprzedsiębiorcy Roku otrzymała firma „MARTEXT” - Biuro Tłumaczeń Marty Florek.



Ksiądz prałat Józef Leśniak został wyróżniony medalem „Za działalność charytatywną”.



Biskup Tarnowski ks. Andrzej Jeż otrzymał statuetkę „Przyjaciel Powiatu Limanowskiego”.



Ratownicy GOPR Sekcji Operacyjnej w Limanowej oraz zaproszeni goście po Mszy św. z okazji jubileuszu 45-lecia.

Jubileusz 45-lecia limanowskiego GOPR

Ks. Stanisław Wojcieszak

W kaplicy Bożego Miłosierdzia w Mordarce 10 listopada 2012 r. odbyła się niecodzienna uroczystość. Zaczerwieniło się w tym dniu w tamtejszym kościele od koloru kurtek czy swetrów zgromadzonych na Mszy św. prawie stu gości. To Goprowcy z Podhalańskiej Grupy Terenowej przybyli na zaproszenie swych kolegów do Limanowej.

Były delegacje z Rabki, Nowego Targu, Szczawnicy, Krościenka, Kamienicy, Niedźwiedzia i Ochotnicy. Powodem ich przybycia było uczczenie 45. rocznicy istnienia GOPR w Limanowej i 60. rocznicy założenia tej organizacji.

Uroczystą Eucharystię sprawował proboszcz parafii w Mordarce ks. Zbigniew Stabrawa wraz z ks. Stanisławem Wojcieszakiem, który też wygłosił okolicznościowe kazanie zatytułowane: „Bóg i człowiek ratujący człowieka”.

Nawiązując do historii i jubileuszu Goprowców, kaznodzieja powiedział: *Idea GOPR zrodziła się z wrażliwości i miłości wobec bliźniego. Powstała z pobudek wiary i męstwa, osobistych umiejętności i poczucia odpowiedzialności za życie drugiego, które zostało zagrożone. Ileż można by podać wspaniałych przypadków heroizmu goprowców, którzy dla ratowania ludzkiego życia, narażają na niebezpieczeństwo swoje. Ile też można podać przykładów niefrasobliwości, nieodpowiedzialności i lekkomyślności u niektórych ludzi udających się w góry. Idea goprowców ma zawsze wymiar humanitarny i religijny. Jej symbolem*

jest czerwony jak krew i miłość kolor stroju oraz oznaka: na białym tle niebieski krzyżyk. Gdy w ostatnim czasie usunięto go z oznakowań karetok Pogotowia Ratunkowego, jakże aktualny i zobowiązujący jest apel bł. Jana Pawła II wypowiedziany w 1997r. pod Giewontem: „Brońcie Krzyża”.

Rozważanie zakończył słowami piosenki religijnej: *Na pomoc, na ratunek człowiekowi! Czy słyszysz? Ktoś woła: SOS!!*

W czasie Mszy św. modlono się za żyjących i nieżyjących Goprowców. Wspominano nieżyjących: *Artura Struzika, Stefana Lisa, Mieczysława Raczka i Kazimierza Sowę.*

Po zakończonej liturgii św. zrobio-



Msza św. z okazji 30-lecia GOPR S.O. Limanowa, przy „Starym” Krzyżu na szczycie Lysej Góry. Mszę koncelebrowali: ks. bp Piotr Bednarczyk oraz kustosz limanowskiej bazyliki ks. prałat Józef Poręba. Z lewej stoi śp. Kazimierz Sowa - 1997 r.



45 - lat
Sekcji
Operacyjnej
Limanowa
1967-2012

Grupa Podhalańska GOPR

Powyżej: Na hali Stomorgi na Mogielicy.
Obok: Ratownicy GOPR S.O. Limanowa.



no pamiątkowe zdjęcie, a potem w gospodzie „U Walka” była dalsza część uroczystości, rodzinne i międzypokoleniowe spotkanie przy wspólnym stole.

Z nazwy GOPR najważniejszym wyrazem jest słowo „Ratownicze”. Słownik języka polskiego podaje, że **ratować** kogoś to udzielać mu pomocy w niebezpieczeństwie czy trudnej sytuacji, chronić przed zagubieniem, nieszczęściem czy śmiercią. Tak ratuje się np. tonącego, czy od pożaru. Ratować, to także wspierać w potrzebie, wybawiać czy ocalać. Ze słowem ratować związany jest **ratownik**. Jest to człowiek niosący pomoc w nagłych wypadkach, czy ratujący od zguby. Z ratownikiem związane jest też **ratownictwo**. Jest to ogół środków i metod ratowania życia. Może być ratownictwo morskie, kopalniane, górskie i inne. Niedozownym w ratownictwie jest sprzęt ratowniczy oraz pojazdy ratownicze.

Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, to organizacja zajmująca się ratowaniem turystów i narciarzy, którzy zostali ranni, zachorowali, zagubili się, czy zostali zasypani przez śnieg. Zajmuje się też znoszeniem ciał ludzi, którzy zmarli lub zginęli w górach. Prowadzi także akcje zapobiegające wypadkom przez dyżury ratowników w górach, informuje o zagrożeniach, opiekuje się szlakami turystycznymi. Angażuje się też jako fachowa pomoc w czasie katastrof lub klęsk żywiołowych. Zazwyczaj jest to zaangażowanie dobrowolne i bezinteresowne. Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe zabezpiecza też różnorakie uroczystości religijne i imprezy organizowane w górach.

Patronem GOPR i goprowców jest św. Bernard z Aosty. Żył w wysokich Alpach w Aostie w XI wieku. Były to czasy, kiedy na szlakach kupieckich, także w górach, grasowały bandy rozbójników, które niszczyły domostwa, paliły budynki, zabijały ludzi. By uniemożliwić im to destrukcyjne działanie, w niezamieszkałych górach i dzikim terenie, na wysokości ponad 2400 m. n. p. morza, postanowił Bernard zagospodarować ten teren i zabezpieczyć go. Mimo przeszkód i ubogich środków zbudował na przełęczy Aosty gospody postojowe. Nazwane one zostały Wielką i Małą Przełęczą św. Bernarda. Gospody te pełniły nie tylko rolę schronisk, ale były niejako hospicjami dla utrudzonych wędrowców, kupców i pielgrzymów. Święty Bernard był diakonem. Zmarł w 1081 r. Przedstawiany jest w białym habicie z krzyżem w kształcie alpejskiej laski, z toporkiem i nartami, psem – bernardynem, lub ze smokiem, symbolem zła, które pokonał. Wokół schroniska św. Bernarda powstała wspólnota zakonna ojców benedyktynów. Bardzo pomocne w ratowniczej działalności, św. Bernarda okazały się wyhodowane tam psy. Służyły one jako stróże oraz przy ratowaniu i odszukiwaniu zaginionych lub zasypanych przez lawiny śnieżne. Te potężne białe – rude psy nazwane zostały bernardynami. W 1681 r. Bernard z Aosty został kanonizowany, a w 1923 r. papież Pius XI ogłosił go patronem górali alpejskich i alpinistów oraz ratowników, a więc i goprowców. O osobie św. Bernardyna z Aosty przypominał współczesnym ludziom bł. Jan Paweł II, który wielokrotnie spędzał wakacje w uroczych okolicach Aosty.

Niebezpieczeństwa i nieszczęścia oraz wypadki w górach zdarzały się zawsze. Do 1909 r. wyprawy ratunkowe organizowano w Tatrach doraźnie. Ale zamiar utworzenia w polskich górach zorganizowanej akcji ratowniczych podjął już w 1907r. Mariusz Zaruski. W lutym 1909r. zginął w lawinie śnieżnej w Tatrach pionier polskiego narciarstwa i miłośnik gór, poeta, pisarz i muzyk, 33 letni Mieczysław Karłowicz. W miejscu tej tragedii pod Kościelcem wyryto na kamieniu słowa: *Non omnis moriar – nie wszystkich umrę*. Nie umarł duch Karłowicza, ale ożył w staraniach o ratowanie zagrożonych. Jego śmierć przyspieszyła administracyjne zatwierdzenie pogotowia ratunkowego w Tatrach 29 października 1909 r. oficjalnie potwierdzono założenie Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Jego założycielem i pierwszym naczelnikiem został 42-letni wówczas Mariusz Zaruski. TOPR składał się z naczelnika sekcji, ratowników czynnych oraz członków honorowych, którzy wspierali tę organizację finansowo. Toprowcy pełnią dyżury ratownicze w górach, zaopatrują schroniska w podręczne apteczki, troszczą się o szlaki turystyczne, ich oznakowanie i zabezpieczenie. Bez względu na porę roku czy dnia, w dzień i w nocy stawiają się w wyznaczonym miejscu, by nieść pomoc poszkodowanym w górach.

W 1952 roku nastąpiła reorganizacja i rozbudowa Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Przyjęto wówczas nazwę: „Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe”. Dzieli się na grupy terenowe, takie jak: tatrzańska, podhalańska, krynicka i inne.

Od 1991 r. grupa tatrzańska usamodzieliła się i powróciła do nazwy TOPR. Pozostałe grupy terenowe tworzą GOPR.

Ratownikiem GOPR może zostać każdy chętny młody człowiek (od 18 do 35 lat). Musi być wysportowany, nie mieć lęku wysokości i kochać góry. Musi mieć wiadomości topograficzne terenu i umieć jeździć na nartach. Musi umieć udzielić pierwszej pomocy, być solidarny z innymi oraz dyspozycyjny 24 godziny na dobę, bo pełni służbę społeczną, a nie zawodową. W Polsce Dzień Ratownika obchodzony jest 10 listopada. Jest to więc święto wszystkich Goprowców. W tym dniu na ręce naczelnika grupy terenowej składają przyrzeczenia kandydaci na ratowników, według następującej Roty:

Ja... dobrowolnie przyrzekam pod słowem honoru, że póki zdrowszy będę na każde wezwanie Naczelnika lub jego zastępcy bez względu na porę roku, dnia i stanu pogody stawię się w góry celem niesienia pomocy ludziom jej potrzebującym.

Postanowień regulaminu GOPR będę przestrzegał ściśle, polecenia Naczelnika, kierowników wypraw i akcji będę wykonywał rzetelnie, sumiennie i gorliwie pamiętając, że od mego postępowania zależy życie i zdrowie ludzkie. W pełnej świadomości i na znak dobrej woli powyższe przyrzeczenie przez podanie ręki Naczelnikowi potwierdzam.

Po wypowiedzeniu roty otrzymuje kandydat odznakę służbową i składa swój podpis w księdze przyrzeczeń. Przez te znaki zawiera związek z organizacją „Błękitnego Krzyża”.

Początkiem GOPR w Limanowej są lata sześćdziesiąte XX wieku. Wtedy to, dzięki aktywnej działalności Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego rozwinęło się uprawianie turystyki masowej. Do nie odkrytego wówczas Beskidu Wyspowego ciągnęły tłumy turystów zauroczone możliwością czynnego wypoczynku na tutejszych szlakach górskich. Z wędrowaniem zaś pojawiła się większa ilość wypadków oraz potrzeba udzielenia pomocy ludziom w górach. Powstała więc konieczność utworzenia grupy ludzi, którzy niesliby pomoc poszkodowanym w Beskidzie Wyspowym.

Od 1954 r. istnieje w Rabce Zdroju GOPR, który obejmował także góry powiatu limanowskiego.



Akcja ratunkowa po katastrofie samolotu na Łopuszach (koło Rozdziela - Żegociny).

Pierwszymi ratownikami sekcji limanowskiej byli: *Artur Struzik, Jan Dutka, Leopold Jaskólski, Kazimierz Kękuś* oraz *Stefan Lis*. W 1968 roku uczestniczyli oni w kursie ratownictwa górskiego w Tatrach, a przyrzeczenie złożyli przed naczelnikiem Władysławem Mleko-dajem w 1979 roku. Od tego czasu przez sekcję przewinęło się kilkudziesięciu kandydatów i ratowników, którzy na rodzimym terenie brali udział w wielu akcjach i wyprawach ratowniczych. Limanowscy Goprowcy niosą pomoc wędrującym szlakami Beskidu Wyspowego, a także narciarzom korzystającym z wyciągów narciarskich na Łysej Górze, Kamionnej, Śnieżnicy i Lubomierzu. Pełnią nie tylko społeczne dyżury na szlakach turystycznych i narciarskich stokach, ale obsługują także i zabezpieczają wycieczki, rajdy turystyczne, zawody sportowe i sierpniowe spotkania na Mogielicy („Złaz Mogielica”) czy innych szczytach Beskidu Wyspowego. Pełnili też służbę porządkową na terenie Małopolski w czasie pielgrzymek Jana Pawła II do Ojczyzny. Prowadzą także działalność profilaktyczną, mówiąc o górach i ich pięknie, historii, ale i zagrożeniach. Uczą bezpiecznego uprawiania turystyki. Od 2004 r. zabezpieczają trasę w czasie trwania Międzynarodowego Ekstremalnego Maratonu Pieszego „Kierat”.

By ratować życie innym, biorą niekiedy udział w bardzo trudnych i niebezpiecznych wyprawach. Wystarczy nadmienić, że w 2011 r. interweniowali ok. 200 razy, w większości na wyciągach narciarskich.

By podnosić swoje kwalifikacje, goprowcy biorą udział w specjalnych szkoleniach z zakresu ratownictwa górskiego, a także w rozjeździe narciarskim na początku każdego sezonu zimowego. Każdy ratownik musi mieć aktualne badanie lekarskie i egzamin z niesienia pierwszej pomocy.

Ratownicy limanowscy współpracują także ze strażą pożarną, pogotowiem ratunkowym oraz z ratownikami z innych sekcji. W 1988 r. limanowska sekcja GOPR rozpoczęła budowę stacji ratunkowej przy ulicy Mordarskiego 6 i tam ma swoją siedzibę. Sekcja ta należy do Grupy Podhalańskiej z siedzibą w Rabce Zdroju. Grupa ta liczy aktualnie osiem sekcji operacyjnych z siedzibami w: Nowym Targu, Rabce – Zdroju, Szczawnicy, Krościenku, Ochotnicy, Kamienicy, Niedźwiedziu, Limanowej. Naczelnikiem Grupy Rabczańskiej jest Mariusz Zaród, prezesem Rady Grupy – Dariusz Budzowski. Kierownikiem zaś sekcji operacyjnej w Limanowej jest Adam Matras.

Obecnie Sekcja Limanowska zrzesza 25 czynnych ratowników, w tym dwóch instruktorów, 5 starszych ratowników, 12 ratowników oraz 6 kandydatów. Od roku 1984 w Sekcji działają także goprowcy z Bochni. W sezonie zimowym zabezpieczają oni stoki narciarskie na Kamionnej oraz pełnią dyżury na terenie działalności Podhalańskiej Grupy GOPR.

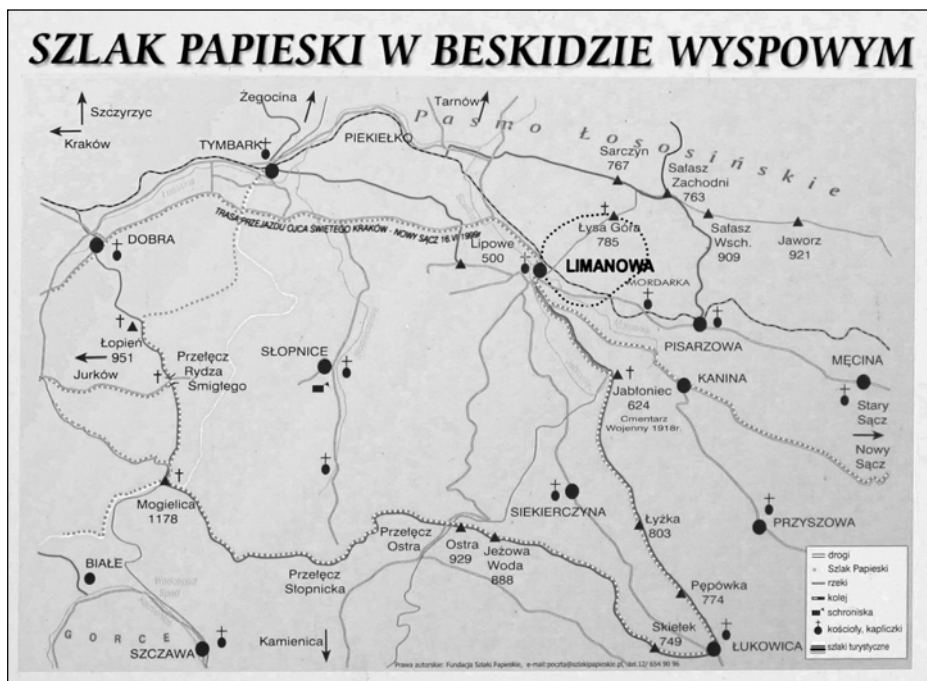
Posługa w GOPR to pasja życia wynikająca z miłości do człowieka i gór. Obejmuje ona życie indywidualne ratowników, absorbuje ich rodziny i zachwyca ideą ratownictwa także młode pokolenie. Nic więc dziwnego, że wielu synów czy córek goprowców, poszło w ślady rodziców i również zaangażowało się w GOPR.

Wszystkim goprowcom z racji 60-lecia istnienia organizacji oraz goprowcom limanowskim z okazji 45. rocznicy powstania Sekcji składamy podziękowania za ich ofiarną służbę, życząc zdrowia, wiary i męstwa oraz ludzkiej wdzięczności i wsparcia z Nieba. Niech natchnieniem w ratowniczych akcjach będą słowa św. Pawła, przywołane w czasie uroczystej Mszy w Mordarce 10 listopada tego roku:

„Do wszystkich warunków jestem zaprawiony. Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia”

Fotografie: Zbigniew Dutka

Szlaki Papieskie w Beskidzie Wyspowym istnieją już dziesięć lat



Tablica „Szlak Papieski w Beskidzie Wyspowym” umieszczona jest przy pamiątkowym głazie na limanowskim rynku. Fot. Stanisław Ociepka

Na limanowskim rynku umieszczony jest głaz z mosiężną płaskorzeźbą bł. Jana Pawła II. Płaskorzeźba ta, wysokości 55 cm, przedstawia papieża w sutannie, w sportowej kurtce i kaszkiecie opierającego się obydwo rękami na turystycznym kiju i patrzącego w dal. Obok płaskorzeźby jest napis również z mosiężnych liter o następującej treści: Szlak Papieski w Beskidzie Wyspowym. Limanowa 15. 08. 2003. Nad głazem zaś postawiona została w 2012 r. tablica informacyjna o takiej treści: *Pilnujcie mi tych szlaków! Jan Paweł II - Nowy Targ 9 VI 1979.*

Szlaki Papieskie w Beskidzie Wyspowym i Gorcach zostały otwarte i poświęcone w Rabce – Zdroju 26 maja 2003r., jako jedne z pierwszych w Polsce. Oznakowanie Szlaków Papieskich było darem dla Jana Pawła II z okazji 25-lecia Pontyfikatu. Inicjatorem był zawiązany w tym celu Społeczny Komitet Organizacyjny (przekształcony wkrótce w Fundację Szlaki Papieskie) złożony z przedstawicieli Krakowa oraz gmin, powiatów i parafii z Limanowej, Mszany Dolnej, Rabki Zdroju, Nowego Targu, Krościenka nad Dunajcem, Słopnic, Raby Wyżnej, Lubnia, Ochotnicy, Dobrej, Łukowicy, Tymbarku i Kamienicy Gorczańskiej.

Oznakowane są błękitnymi tablicami z zaznaczonymi Szlakami Papieskimi oraz malowanymi na drzewach znakami

na niebieskim tle żółty krzyżyk, wsparty na trójkacie symbolizującym świętą górę (Mons Sonctorum). Prowadzą trasami, które są związane z udokumentowanymi wędrówkami, bądź posługą duszpasterską kard. Karola Wojtyły, a także pielgrzymkami bł. Jana Pawła II do Ojczyzny. Obejmują duże rozległe górskie kotliny, połączone przełęczami Gruszowiec i Przysłop, których centrum stanowią miasta Limanowa i Mszana Dolna, leżące na terenie diecezji tarnowskiej i archidiecezji krakowskiej. Ukształtowanie terenu spowodowało podział szlaków papieskich w Beskidzie Wyspowym na „Zagórzańskie” (rabczańsko – mszańskie) i „limanowski”.

Trasa Szlaku Papieskiego – „Limanowskiego”: *Jurków – Mogielica, lub Jurków-Przełęcz Marszałka Edwarda*

Rydza Śmigłego - Mogielica - Przełęcz Słopnicka - Cichoń - Przełęcz między Cichoniem i Ostrą, Ostra - Jeżowa Woda - Skielek - Łukowica - Jabłowiec - Limanowa. Szlakiem Papieskim jest również podejście na Miejską Górę w Limanowej do Krzyża Jubileuszowego pobłogosławionego przez Ojca Świętego.

Trasa Szlaku Papieskiego „Zagórzańskie”: *Rabka Zdrój - Zaryte - Luboń Wielki - Przełęcz Glisne - Szczebel (w tym miejscu łączy się ze Szlakiem Papieskim z Lubnia na Czechówkę) - Kasina Mała - Lubogosz - Kasina Wielka - Ośrodek Rekreacyjno-Rekolekcyjny na Śnieżnicy - Przełęcz Gruszowiec - Ćwilin - Jurków - Przełęcz Marszałka Edwarda Rydza - Śmigłego.* W tym miejscu łączy się ze Szlakiem Papieskim z Tymbarku przez: *Lopień - Mogielicę - Jasień-Kobylicę - Ostrą - Mszaną Dolną.*

Potoczna nazwa szlaków pochodzi od grupy etnicznej górali Zagórzan, zamieszkujących ten teren.

Szlakami Papieskimi w Gorcach nazywamy tradycyjne szlaki turystyczne, które pokrywają się z trasami wędrówek kardynała Karola Wojtyły. ▶



Poświęcenia głazu na limanowskim rynku dokonał ks. Józef Poręba - proboszcz parafii limanowskiej - 15 sierpnia 2003 rok.



Ks. Stanisław Wojcieszak

► Miejszem najważniejszym, zwornikiem istniejących tutaj Szlaków Papieskich, jest Szałasowy Ołtarz na Hali Turbacz.

Dojście z Limanowej na Turbacz przez *Mogiлицę - Rzeki - Przełęcz Przysłop - dolinę rzeki Kamienicy* (warto odwiedzić tzw. „Papieżówkę”). Zgodnie z wolą Dyrekcji Gorczańskiego Parku Narodowego, Szlaki Papieskie nie są oznakowane w terenie na jego obszarze.

Jak widać na podstawie tej informacji, Szlaki Papieskie w Beskidzie Wyspowym i Gorcach nie tylko są położone obok siebie, ale łączą się i zazębiają. Zamieszczona na tablicy limanowskiego rynku informacja wymaga jeszcze dopowiedzenia.

Jak doszło do utworzenia tych Szlaków Papieskich? Różnorakie były pomysły upamiętnienia pobytu bł. Jana Pawła II w polskich górach. W sposób jednak zorganizowany ich utworzeniem zajęła się Urszula Własiuk z Krakowa.

Po raz pierwszy dane mi było spotkać ją w Dyrekcji Gorczańskiego Parku Narodowego w Porębie Wielkiej w czasie sympozjum naukowego „Sacrum i przyroda” - 12 października 2002 roku. Zaprezentowała tam ideę szlaków. Sympozjum ubogacone było wystawą obrazów namalowanych przeze mnie na szkło. Wystawą tą zainteresowała się Pani Urszula i za-

proponowała mi, bym podobną zorganizował w Krakowie w Centrum Jana Pawła II przy ul. Kanoniczej. Tam bowiem 15 stycznia miała się odbyć promocja przewodnika o papieskich wędrówkach zatytułowanego słowami Jana Pawła II: „Pilnujcie mi tych szlaków”, autorstwa Urszuli Własiuk i Andrzeja Matuszczyka.

W pamiątkowej księdze zwiedzających wystawę Pani Urszula dokonała wtedy następującego wpisu: *Serdecznie dziękuję ks. Stanisławowi Wojcieszakowi za ekspozycję obrazów jako ilustrację dodatkową do prezentacji książeczki „Pilnujcie mi tych szlaków”. Pomysł połączenia naszych umiejętności był – okazuje się – bardzo dobry. Piękno na obrazach przełane w cudownie prosty sposób – mam nadzieję - dodatkowo zachęci turystów do wejścia na Papieski Szlak. Bóg zapłać. Urszula Własiuk – 15 stycznia 2003 r. Kraków.*

Pomysłem Szlaków Papieskich zafascynowała mnie Pani Urszula w czasie wspomnianego spotkania w Porębie Wielkiej (12. 10. 2002 r.) oraz w Krakowie (15. 01. 2003 r.). Poinformowała też, że w maju, w Rabce Zdroju, będzie odsłonięcie głazu na pamiątkę 50. rocznicy pobytu tam Karola Wojtyły oraz uczczeniu 25-lecia Jego pontyfikatu. W zamyśle Urszuli Własiuk było poszerzenie oznakowania szlaków także poza Rabką w kie-



Krzyż w kształcie papieskiego pastorału na Mogiлицy.

runku Mszany Dolnej. Jako znający Limanowszczyznę i wielu ludzi zasugerowałem Pani Urszuli, aby szlakami papieskimi objąć także Beskid Wyspowy i Gorce, gdzie często na wycieczki przybywał krakowski Kardynał. Myśl tę zaakceptowała Pani Własiuk. Prosiła tylko o pomoc w sprawach organizacyjnych.



prezentuje tablicę Szlaku Papieskiego w Gorcach.

Odsłonięcia pomnika - głazu z wizerunkiem Ojca św. w Ochotnicy Dolnej dokonał ks. Stanisław Wojcieszak - proboszcz tej parafii i ks. Maciej Ostrowski - 29 czerwca 2003 rok.

W związku z tym 15 marca 2003 r., w restauracji Mogielica w Jurkowie odbyło się spotkanie osób zainteresowanych tą sprawą. Wzięło w nim udział czterech kapłanów i siedmiu przedstawicieli władz administracyjnych z Limanowej i Słopic oraz inni. Było to bardzo ważne spotkanie, bowiem wtedy zapadła decyzja o utworzeniu Społecznego Komitetu Organizacyjnego Szlaków Papieskich. Komitet ten 19 grudnia 2003 r. przekształcony został w Fundację – Szlaki Papieskie. Aktualnie prezesem tej Fundacji jest Urszula Własiuk, a przewodniczącym Rady Fundacji Jerzy Rieger.

Uczestnicy spotkania w Jurkowie zobowiązali się także do konkretnej pomocy i zaangażowania w dzieło tworzenia szlaków w Beskidzie Wyspowym i Gorcach.

W celu omówienia dalszych szczegółów, odbyły się jeszcze trzy podobne spotkania organizacyjne. 29 marca gościł zainteresowanych tą ideą na plebanii w Limanowej kustosz sanktuarium – ks. Józef Poręba. W spotkaniu wzięło udział kilkanaście osób. 25 kwietnia i 13 maja tegoż roku odbyły się jeszcze spotkania w Urzędzie Gminy w Mszanie Dolnej. Omówiono wówczas trasę papieskich wędrówek, która będzie przebiegała najczęściej wzdłuż szlaków turystycznych. Ustalono także, że znakiem rozpoznawczym Szlaku będzie namalowany przy znaku turystycznym na niebieskim tle żółty krzyż na

trójkącie. Duże zasługi w oznakowaniu tych szlaków na Limanowszczyźnie miał śp. Kazimierz Sowa. Zastanawiano się też, jakie będzie logo Szlaków Papieskich. Logo to opracował uzdolniony i zasłużony dla turystyki górskiej kustosz Muzeum Turystyki na Baraniej Górze – Andrzej Dziczkaniec – Boško.

Pani Urszula zobowiązała się także do opracowania specjalnych map, które będą umieszczone w formie tablic w niektórych miejscach na szlakach. Wykonano takich map dwieście. Przy szlakach zasadzono też ponad dwieście jaworów, tradycyjnych polskich drzew, z których większość rośnie do dziś. Ideę nazwano krótko: „Szlaki Papieskie”. Opieki nad nimi podjęły się niektóre gminy, działacze turystyczni, GOPR, wielu kapłanów i niektóre szkoły im. Jana Pawła II.

O przedsięwzięciu na bieżąco informowały media, a zwłaszcza tygodnik katolicki „Niedziela”, który objął patronat nad całą inicjatywą.

Za podjętymi ustaleniami poszły konkretne czyny. I tak, już w 2003 roku zrealizowano następujące dzieła inicjowane przez Panią Własiuk, gminy, szkoły, osoby indywidualne oraz przeze mnie:

- 26 maja po uroczystej Mszy w kościele św. Marii Magdaleny w Rabce Zdroju odsłonięto pomnik – głaz z wizerunkiem Ojca św. – turysty;

- 29 czerwca odsłonięto podobny jak w Rabce pomnik papieski przy kościele w Ochotnicy Dolnej. Na kamiennym głazie umieszczono tu słowa, które Jan Paweł II powiedział do mnie jako proboszcza tej parafii: „Ja tam u was byłem” (13. 12. 2001 r.);

- Także 29 czerwca o godz. 15 na ochotnickim Gorcu została poświęcona kapliczka z kopią limanowskiej Piety. Kapliczka przypomina o wędrówkach po Gorcach Jana Pawła II. Data poświęcenia nie była przypadkowa. Jako proboszcz parafii w Ochotnicy Dolnej wprowadziłem w kalendarz duszpasterski coroczną Mszę św. na Gorcu w uroczystość świętych Piotra i Pawła z modlitwami za Ojca św. i o urodzaj grzybów, z których słyną Gorce;

- 26 lipca dla upamiętnienia 40 rocznicy wędrówek kard. Wojtyły przez Kamienicę, odsłonięto tam tablicę informującą o tym pobycie;

- 15 sierpnia w czasie Dni Limanowej został pobłogosławiony na limanowskim rynku Szlak Papieski. Upamiętnia go głaz i płaskorzeźba Jana Pawła II jako turysty. Jest to taka sama rzeźba jak w Rabce Zdroju, czy Ochotnicy Dolnej. Jej wykonawcą jest Wojciech Spyrzyński z Lublina;

- 13 września na Hali Turbacz odprawiono Mszę św. przy tzw. Szalasowym Ołtarzu dla przypomnienia o pobycie w Gorcach Jana Pawła II.

► Szlaki papieskie powstały po to, aby zachęcić ludzi do turystyki górskiej oraz do głębszego religijnego patrzenia na wędrowanie. Mówią one nie tylko o turystyce, ale i geografii, historii, filozofii, o życiu. Mówią o radości i strapieniu, modlitwie i przeżywaniu w górach Mszy świętej. Mają one wymiar rekreacyjny, religijny i patriotyczny. Obejmują wszystko to, czym żył i co przeżywał ich Patron.

Do ich żywotności nieodzowne jest zaangażowanie zwłaszcza młodzieży. Dlatego w dniu 14 i 15 czerwca 2003 r. Fundacja zorganizowała I Rajd Gwiazdzisty Szlakami Papieskimi w Beskidzie Wyspowym z metą na Śnieżnicy. Wzięło w nim udział około pięciuset osób. W październiku 2003 roku Zespół Szkół Technicznych i Ogólnokształcących w Limanowej przy ul. Z. Augusta w Limanowej obrał za swego patrona Jana Pawła II. Dyrekcja, nauczyciele, kapłani i uczniowie tej szkoły od samego początku bardzo aktywnie zaangażowali się w Rajd i od 2004 roku szkoła ta jest metą Gwiazdzistego Rajdu Papieskiego. Na zakończenie tego Rajdu sprawowana jest na dziedzińcu szkoły uroczysta Msza św. z okolicznościowym rozważaniem. Włączają się w nią władze powiatu, miasta i gminy Limanowa oraz przedstawiciele Fundacji z Krakowa.

Idea Szlaków Papieskich była pragnieniem samego Ojca św. Mówił on do swych rodaków: „Chodźcie moimi drogami” oraz: „Oznaczcie mi te ścieżki”. Nic więc dziwnego, że papież na bieżąco był informowany o tym, gdzie i w jaki sposób upamiętniono jego obecność na turystycznych szlakach. Dzieło to przyjął bardzo życzliwie i błogosławił mu. Wielką zasługę ma w tym ks. kard. Stanisław Dziwisz – osobisty sekretarz Ojca św., a obecnie metropolita krakowski, który objął honorowy patronat nad Szlakami Papieskimi.

Dla rozpowszechnienia Szlaków i pogłębienia treści wędrowania z Papieżem Janem Pawłem II po polskiej ziemi, Urszula Własiuk wydała w 2003 roku, jeszcze jeden przewodnik bogaty w treść i zatytułowany: „Ja tam u Was byłem. Pilnujcie mi tych szlaków”. Rozpoczęła też edycję przewodników obejmującą turystyczne szlaki związane z osobą Jana Pawła II, a rozsiane po całej ojczyźnie. Planowanych jest 12 tomów tych przewodników. Dotychczas ukazały się cztery, a mianowicie: 1. „Tatry”; 2. „Podhale”; 3. „Orawa, Spisz, Pieniny”; 4. „Beskid Żywiecki”. Beskidowi Wyspowemu i Gorcom



Prace przy Krzyżu papieskim na Lubaniu.

poświęcony będzie tom szósty.

W ideę Szlaków Papieskich wpisane jest także sadzenie dębów upamiętniających pobyt w danej miejscowości Jana Pawła II. Dąb taki na limanowskim rynku został posadzony 3 maja 2006r. o czym informuje zamieszczony tam napis. „Dąb Jana Pawła II wyrósł z żołądzia dębu Chrobry. Nasiona dębu zostały poświęcone przez Ojca Świętego podczas Pielgrzymki Leśników Polskich do Watykanu 28 kwietnia 2004 roku”.

Pisząc o Szlakach Papieskich, nie sposób nie wspomnieć o krzyżach przypominających o Janie Pawle II. Z okazji Wielkiego Jubileuszu Odkupienia w roku 2000 postawiono na Miejskiej Górze w Limanowej 37 metrowy krzyż. Wykonawcą jego jest Kazimierz Wojtas i firma Ekopromet. On też wykonał jubileuszowe krzyże na Bałazówce i na górze Paproć. 22 sierpnia 2004 roku osadzono na Mogielicy krzyż w kształcie papieskiego pastorału. Pod krzyżem tym wypisane są słowa kard. Wojtyły „Wobec piękna gór czuję, że On jest! I wtedy zaczynam się modlić”. Wykonawcą tego krzyża jest Stanisław Gąsienica – Byrcyn z Zakopanego. Od 2004 roku odprawiana jest też na Mogielicy Msza św. w czasie organizowanego przez Gminę Słupnice „Złazu Mogielica”.

Udokumentować wszystkie pobyty kard. Wojtyły w Beskidzie Wyspowym i Gorcach jest niezwykle trudno. Jak powiedziała mi w rozmowie telefonicznej dr Wanda Półtawska, Kardynał Wojtyła wśród bardzo licznych zajęć, gdy znalazł chwilę wolnego czasu, bardzo chętnie udawał się na zrelaksowanie w góry Beskidu Wyspowego, gdyż są one położone niedaleko Krakowa. Nie można jednak pominąć daty obecności Arcybiskupa Wojtyły na koro-

nacji limanowskiej Piety 11 września 1966 r. oraz przejazdu Jana Pawła II przez Limanową do Starego Sącza i zatrzymanie się przed bazyliką, by poświęcić krzyż na Miejskiej Górze (16 czerwiec 1999 r.).

Od roku 2005, kiedy to do Krakowa przybył jako metropolita kard. Stanisław Dziwisz, co roku, po Bożym Narodzeniu, odbywa się w budynku przy ul. Franciszkańskiej 3 noworoczne spotkanie organizowane przez Fundację Szlaki Papieskie. Spotkanie rozpoczyna się na dziedzińcu przed pomnikiem papieża, następnie jest Msza św. w kaplicy biskupiej, a potem spotkanie z ks. kard. Stanisławem Dziwiszem i jego przesłanie do uczestników. Spotkanie kończy się poczęstunkiem u ojców franciszkanów. Przyjeżdżają na nie delegacje Szlaków z całej Polski. Udział w tej niezwykle barwnej uroczystości jest dla osób, które tworzą w terenie Szlaki wyróżnieniem. Trudno określić dokładnie ile obecnie jest tych Szlaków, gdyż wciąż powstają nowe. Szlak Papieski w Beskidzie Wyspowym istnieje już od dziesięciu lat. Przypomina on o tym, że przesłanie bł. Jana Pawła II o ludzkim życiu jest wciąż aktualne. Jest to także zachęta do poznawania życia tego Wielkiego Polaka i wędrowania przez życie według Jego wskazań. Nie można zapomnieć, że na fundamencie Szlaków Papieskich zrodziła się przed kilku laty inicjatywa turystyczna zatytułowana: „Odkryj Beskid Wyspowy”. W niezwykle sposób w odkryciu piękna Beskidu Wyspowego pomaga nam bł. Jan Paweł II. Wędrujmy więc indywidualnie, rodzinie czy w grupach po Papieskich Szlakach i odkrywajmy piękno Beskidu Wyspowego.

Fotografie: ze zbioru ks. Stanisława Wojcieszaka

Must be... ciężka praca

Z czym kojarzą się programy typu „Must Be The Music”, „The Voice of Poland”, „Mam talent”, „Bitwa na głosy”? Zwykle z baśnią o Kopciuszku, który dostaje przepustkę do sławy i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, czyli za sprawą opinii jurorów i głosów widzów, może stać się gwiazdą. Jaka jednak jest rzeczywistość? Co naprawdę daje udział w programach talent-show? Czy zmieniają one życie uczestników? O tym i innych zakulisowych sprawach rozmawiamy z pochodzącymi z naszego regionu uczestnikami tych programów. Sprawdzamy też, co od czasu telewizyjnych występów wydarzyło się w ich życiu.

Sylwia Zelek



O kolejnym występie w talent-show myśli też Sylwia Zelek z podlimanowskiej Żmijanej. Wiosną 2011 r. wzięła udział w programie „Bitwa na głosy” w drużynie braci Golców. Ich drużyna odpadła, a Sylwia nie miała okazji zaprezentować się w solówce.

- Udział w programie nie wpłynął jakoś diametralnie na moje życie, jednak dzięki niemu zyskałam więcej pewności siebie i uwierzyłam we własne siły – przyznaje.

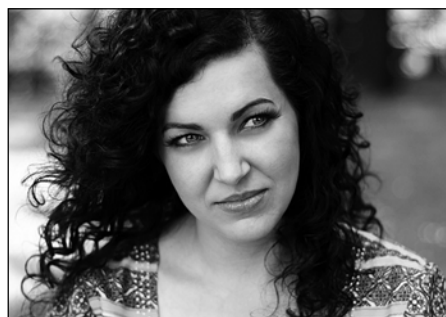
- W tym programie nauczyłam się pracy zespołowej, bo tak naprawdę pracowaliśmy na konto całej grupy. Zobaczyłam również, jak wygląda telewizja od tej drugiej strony. Oprócz ciężkiej pracy, wiążącej się z kilkugodzinnymi próbami choreograficznymi i wokalnymi, było też dużo zabawy. Poznałam wiele fantastycznych osób. Naszymi nauczycielami byli bracia Golec - bardzo serdeczni, ciepli ludzie, którzy dzielili się cennymi wskazówkami na przyszłość.

Po programie Sylwia była zapraszana na koncerty charytatywne i imprezy plenerowe głównie w powiecie limanowskim. Obecnie studiuje edukację muzyczną w zakresie sztuki muzycznej w Kielcach. W tym roku zdobyła nagrodę Grand Prix XIV edycji festiwalu „Scena dla Ciebie” w Kielcach.

Czy zatem weźmie jeszcze udział w talent-show?

- Oczywiście, że tak. Tylko na pewno poświęciłabym się jeszcze bardziej programowi, bo niestety kiedy była „Bitwa na głosy”, miałam na głowie maturę i ona była priorytetową sprawą. W przyszłym roku planuję spróbować sił w programach typu „X-Factor”, „Must By The Music”, aby pokazać się indywidualnie.

Marta Florek



Marta Florek, wystąpiła w edycji programu „The Voice of Poland”. Nie był to bynajmniej debiut sceniczny czy telewizyjny wokalistki z Limanowej. Wcześniej z powodzeniem brała udział w „Szansie na sukces”, a w czerwcu 2011 r. wystąpiła na Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu w czasie koncertu poświęconego Ewie Demarczyk. W programie TVP2 odpadła w pojedynkach, bo jak stwierdziła Kayah, Marta zaprezentowała pełen profesjonalizm i w tym programie nie mogłaby się bardziej

rozwinąć. Czy udział w show zmienił coś w życiu Marty?

- Nie sędzę, żeby ten program miał jakieś spektakularne znaczenie dla mojego rozwoju. To był tylko jeden z przystanków. Oczywiście po programie zostało mi wiele nowych kontaktów i znajomości. Na pewno zdobyłam nowe doświadczenie, wiele osób dowiedziało się o mnie, znacznie wzrosła ilość osób odwiedzających moją stronę internetową. Po emisji programu starałam się skoncentrować na swoim rozwoju, wykorzystując przysłowiowe „pięć minut”, ale tak naprawdę robię to, co robiłam wcześniej, tyle że więcej osób mnie kojarzy.

Marta w ubiegłym roku ukończyła wokalistykę jazzową na Akademii Muzycznej w Katowicach. Obecnie występuje w musicalach w Teatrze Rozrywki w Chorzowie i Teatrze Muzycznym w Gliwicach. 1 października zaśpiewała z Polską Orkiestrą Radiową w koncercie „Od Kapera do Kilara – polska muzyka w filmie”.

Łukasz Jemioła



Duży dystans do programów talent-show ma też Łukasz Jemioła, 27-latek z Limanowej. Absolwenta politologii z dziennikarstwem na UMCS w Lublinie oraz studenta edukacji muzycznej można było zobaczyć w programie „X-Factor” w kwietniu tego roku. Po wykonaniu piosenki

(ciąg dalszy na stronie 26)

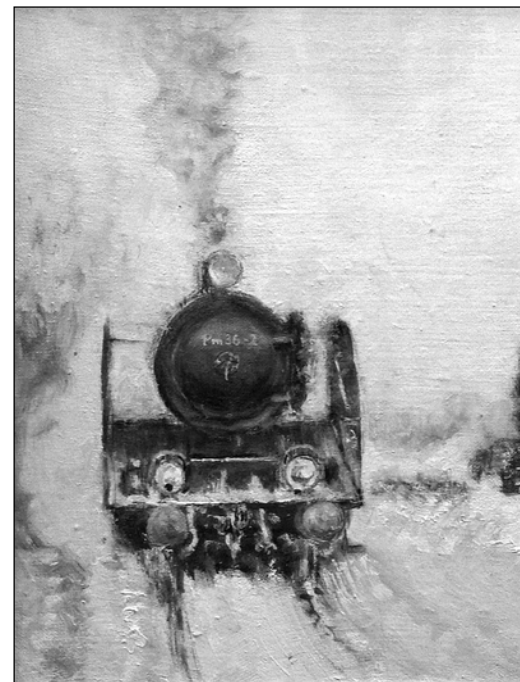
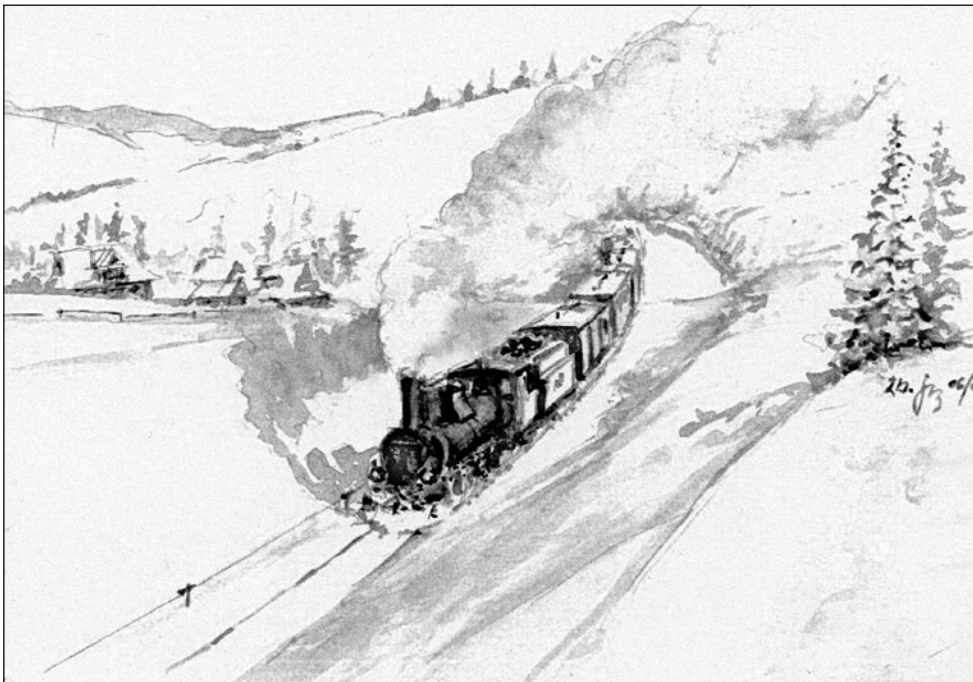
„Wydawało mi się do dzisiaj, że piękne są tylko trzy rzeczy: kobieta w tańcu, koń w galopie i żaglowiec pod pełnymi żaglami. Dzięki Tobie pojąłem, że stare parowozy też mają swój urok.”. Tej treści wpis, sygnowany datą 30 listopada 2012r., widnieje w kronice limanowskiej Miejskiej Galerii Sztuki. Dedykowany jest Zbigniewowi Sułkowskiemu, a asumpt do wpisu stworzyła wystawa Jego autorstwa pt. „Kolej. Na papierze, płótnie ...”.

Tytuł wystawy wyjaśnia dużo. Na kilkudziesięciu fotografiach, rysunkach i obrazach akwarelowych widzimy efekt pasji (jednej z całego katalogu) Autora. Widzimy kunszt, widzimy benedyktyńską nie raz precyzję, widzimy – duże słowo, ale jak nic adekwatne tutaj: a-r-t-y-z-m. Jak się dobrze przyjrzymy, wypatrzymy też coś innego: wielkie zaangażowanie. Zaangażowanie Autora pomieszczone z Jego pomysłem na to jak dany obiekt uchwycić, przedstawić czy sportretować. Jest koncept, jest talent, jest wiedza ... jest Sztuka (duże słowo, ale jak nic adekwatne tutaj). Jest „Kolej. Na papierze, płótnie ...” autorstwa Zbigniewa Sułkowskiego. Przez szacunek dla Autora, który raczej prychna na różne egzaltacje – stawiamy tu szlaban tak prowadzonej narracji. Owóż jednak ... wspaniała, niebalszalna jest to ekspozycja.



Od lewej: Darek Krakowski, Zbigniew Sułkowski, pani Dyrektor Biblioteki, Marysia Kaczmarczyk.

Sztukmistrz z Chmielnika



Wernisaż otwarcia wystawy miał miejsce właśnie 30 listopada. Jeśli nie najobfitsza, to na pewno była to jedna z trzech najobfitszych frekwencyjnie te-

gorocznych imprez kulturalnych w bibliotece. Zebranych gości, różnego autoramentu, powitała gospodarz ksiąźnicy Joanna Michalik. Zaanonsowała Autora.

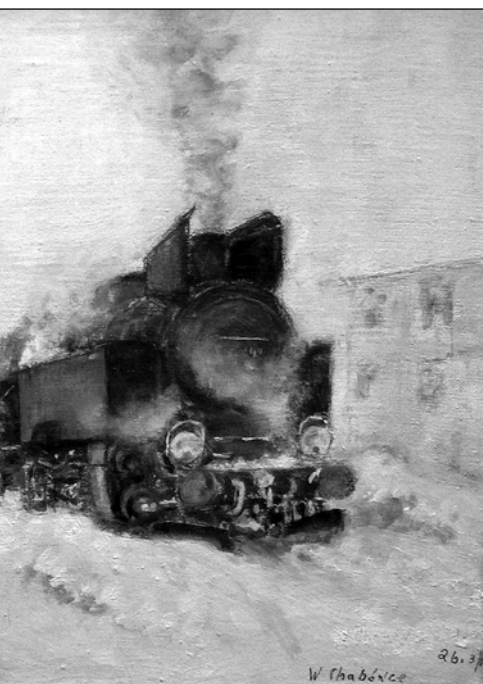
Opowiedziała co nieco o wystawie i tym, jak ekspozycja trafiła do limanowskiej Galerii. Pogratulowała i powinszowała „łowcy pociągów” (wiem, że Autor nie

przepada za tym przydomkiem, ale niechaj ten jeden raz wybaczy) podkreślając, że jest co oglądać i podziwiać. Bo jest. Następnie głos zabrał wiceprzewodniczący Rady Miasta Jan Winiewski. Złożył życzenia p. Zbigniewowi, przekazał prezent, pogratulował i powiedział, że jest „pierwszym kolejarzem w Limanowej”, a wszyscy zebrani podstemplowali ten tytuł rześystymi brawami. Wzruszony Autor podziękował za werbalną dobroć kierowaną w Jego stronę i – mówiąc: „ponieważ po mnie niczego poważnego spodziewać się nie można, więc proszę przyjąć (...)” – wręczył suwenirki Joannie Michalik oraz swoim przyjaciółom z Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Kolei, którzy byli obecni na wernisażu: Marii Kaczmarczyk i Dariuszowi Krakowskiemu. Pan Dariusz opowiedział o prezentowanej ekspozycji i, niczym rasowy kurator, scharakteryzował ją. Warto tutaj szerzej przywołać jego wypowiedź, ponieważ była istotna, ciekawa i bardzo prawidłowo oddawała stan rzeczy. To zgromadzenie eksponatów, które państwo tutaj widzą, jest wyjątkową wystawą. Osoby zainteresowane tą dziedziną, czyli koleją, bardzo rzadko biorą na warsztat – myślę o tych, które próbują – kolejnictwo i starają się przedstawić je za pomocą pędzla, jakiejś grafiki czy w formie rysunku.

kretnym temacie i w takiej ilości za prezentował go na jednej wystawie. To wydarzenie w naszym kraju, w naszym środowisku – osób pasjonujących się tą dziedziną – ma wymiar naprawdę wyjątkowy.

Chciałbym jeszcze podkreślić pewną rocznicę. Otóż tak się składa, że w tym roku mija 40 lat od założenia i powołania Muzeum Kolejnictwa w Warszawie, które skupiło wszystkich tych rozsypanych po kraju entuzjastów i miłośników, fanów kolei w ogóle jako takiej. Jednym z pierwszych, którzy przysłali do Muzeum na początku lat 70-tych swoje zdjęcia, był Zbyszek. On należy do tej szpicy – jak to się określa w peletonie kolarskim – do grupy tych kilku osób, które na własną rękę próbowały fotografować kolej. Te fotografie, które tutaj są zebrane, to pokłosie jego wieloletniej pracy i zabiegów; jego również niebezpiecznych wędrówek, bo były to czasy, kiedy za coś takiego można było wylądować w areszcie i mieć duże nieprzyjemności. Tak, że to są okoliczności wyjątkowe, które naprawdę plasują go wśród liderów ruchu fanów kolei. Ponadto: dodatkowo tak się też składa, że ten rok to ćwierćwiecze prób malarskich Zbyszka. Zbyszek rozpoczął swoje próby akwarelowe jesz-

o wielkości kilku centymetrów i są tak wykonane, że możemy rozpoznać konkretny typ parowozu. To jest bardzo trudne, aby farbą akwarelową, lekko muskając tylko pędzelkiem kilka centymetrów – wydobyć daną konstrukcję parowozu i oddać jeszcze wrażenie, że ta maszyna np. pracuje, jest w akcji, bucha z niej dym, itd. To jest umiejętność wyjątkowa. Bardzo się cieszę ze swojej strony i w imieniu Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Kolei, bardzo państwu dziękuję za tak liczne odwiedzenie wystawy Zbyszka. Jest to człowiek, który zasługuje na to żeby nie tylko go dostrzegać i wspierać, ale i dopingować do dalszej pracy ... – podkreślał pan Dariusz Krakowski. Jego wystąpienie zakończyły, po raz już któryś, bardzo gromkie brawa, i mikrofon trafił ponownie w dłoń Przewodzącego wernisażu. Serdecznie witam was wszystkich raz jeszcze. Zawsze jakoś tak się zdarzało, że wszyscy mi dobrze życzyli, że dobrzy i ciekawi ludzie stawali na mojej drodze. Dzięki serdeczne. – mówił limanowski train-spotter. Opowiedział ogólnie o swoim sentymencie do tej tematyki i zdarzeniach z tym związanych. Scharakteryzował też częściowo swoją ekspozycję. Podziękował jeszcze raz za obecność i pożyczył dobrych wrażeń podczas zwiedzania wystawy.



Tych ludzi w Polsce, aktywnych artystycznie pod tym względem, jest mniej więcej dziesięciu. Rzadko się zdarza, żeby ktoś tak skupił uwagę na tym kon-



cze na takich miniakwarelkach, których część tutaj jest prezentowana. Proszę zwrócić uwagę, że to są lokomotywy namalowane na kartoniku

Przed formalnym jej otwarciem i „podniesieniem szlabanu” dla zwiedzających, głos zabrał jeszcze radny powiatowy Jacek Musiał. Podziękował Autorowi za ►



► troskę i trud związany z „dokumentowaniem” swoich zainteresowań, pogratulował efektów tych działań. A następnie pełnomocnik burmistrza wspólnie z „pierwszym kolejarzem Limanowej” rzekli: „*Uznajemy z lowcą pociągów wystawę za otwartą*”. No i stało się, jak zostało powiedziane. Bardzo – ale to bardzo – licznie zebrane audytorium wysypało się i rozpieczęchło po salach galeryjnych. I dyskutowało, długo zwiedzało, Autora o szczególności i detale pytało, gratulowało ...

A jeszcze w sumie nie tak dawno, jakieś powiedzmy 18 lat wstecz, tak liczne „audytorium” wysypywało się z jednego tylko wagonu, porannego składu relacji Chabówka – Nowy Sącz na limanowskim dworcu kolejowym. Ten tętnił wtedy życiem jak teraz poniedziałkowy jarmark. To już jest jednak czas przeszły, dokonany. Zdaje się: na dobre.

Został Zbigniew Sułkowski i Jego „koleistyka”. Strażnik pamięci. Sztukmistrz.

„*Kolej. Na papierze, płótnie ...*” robi potężne, potężne wrażenie. Głęboki szacunek i gratulacje. Wiem, że już „niejedno na sumieniu – trochę na oku”, ale cały czas mało. Wszelkiej pomyślności. Honor mi znać Pana, Panie Kolego.

Fotografie: Bogdan Skrzekut

Reprodukcje prac Zbigniewa Sułkowskiego na stronach 34-35



Zbigniew Sułkowski

MOŻLIWOŚĆ I. Absolwent UJ. Emerytowany nauczyciel-polonista z Limanowej. Regionalista z bardzo dużą wiedzą historyczną. Przewodnik górski. Pilot wycieczek. Dziennikarz (nieobcy rzetelnym czytelnikom „Echa”). Miłośnik kolei, awiacji, gór, literatury, fotografii i jeszcze co najmniej kilku innych dziedzin naukowych i społecznych.

MOŻLIWOŚĆ II. Wersja 1: Powszechnie w lokalnym środowisku znany i ceniony, od peanów i kwiecistych laudacji oraz egzaltacji skromnie stroniący. Wersja 2: Od peanów, kwiecistych laudacji i egzaltacji skromnie stroniący, ale powszechnie (i zasłużenie) w środowisku lokalnym ceniony i znany. Obydwie wersje chyba do przyjęcia. Dżentelmen w starym, dobrym, coraz rzadziej spotykanym stylu. Sympatyczny pan, potrafiący sypać anegdotami i krotoczwilami nie gorzej niż sienkiewiczowski „imć pan Z.”. Z wielkim talentem i brawurowym pomysłem potrafiący posługiwać się w równym stopniu literacko-dziennikarskim piórem (klawiaturą raczej, w obecnych czasach) czy ołówkiem rysowniczym, co i też pędzelkiem malarzkim albo spustem migawki w swym fotoaparacie. Małe cuda i pyszności potem spod Jego ręki (i tych przyborów powyższych) wychodzą. Poza tym pan Zbigniew jest człowiekiem potężnej, ogólnotematycznej wiedzy i posiada jeszcze, by z harcerskiej terminologii zaczerpnąć, tuzin innych sprawności (patrz: „MOŻLIWOŚĆ I”). *Nie byłem i, mam nadzieję, nie jestem zapaleńcem jednokierunkowym. Nigdy nie mogłem wytrzymać wśród pasjonatów dłużej niż trzy dni. Po tym czasie wydaje mi się, że zaczyna być monotematycznie.* – podkreślał swego czasu w rozmowie z dziennikarką. Jest też, w opinii bibliotecznej mikrospołeczności, przyjacielem i osobą bliską limanowskiej księżnicy.

A kto tam wie, może i w drugą stronę jest trochę podobnie?

Kolej na papierze, płótnie...

Nie wiem, jak to ująć na początek. Może tak, ze odrobina szaleństwa na starość oddała podobno moment ostatecznej demencji. Zdaję sobie sprawę, że dla otoczenia może to być uciążliwe.

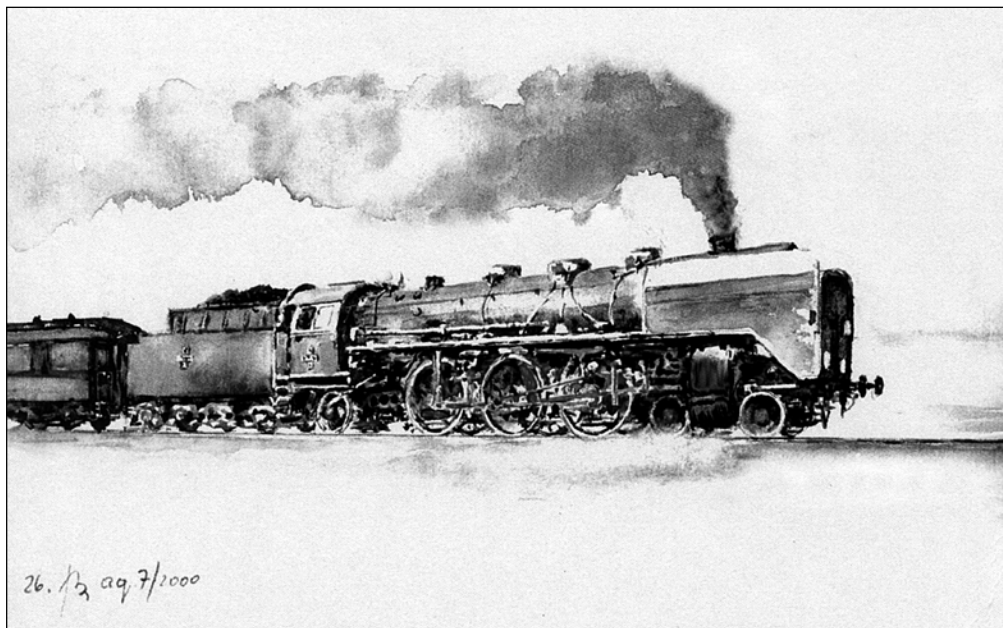
Chłopcze, masz problem ze swoją burzliwą starością! – mówi siostra przeorysza do Luisa de Fine w którymś z filmów z cyklu o żandarmach. Ale lepsze to niż permanentne nieusposobienie.

Zabawę p.t. malowanie (także rysowanie) zacząłem na dobre dobrze po czterdziestce, z przyczyn prozaicznie praktycznych. Mianowicie w połowie lat 80-tych, a więc za ancien regime jeszcze, w zamian za wieloletnie pokątne fotografowanie parowozów, co było surowo zakazane, otrzymałem urzędowe zezwolenie na obfotografowywanie kolei na terenie całego kraju. Taki dowcip, tylko prawdziwy ze zbioru „a to se už ne vrati” i wspinała możliwość wędrowki po zakazanej strefie kolejowego „państwa w państwie”. Była to w tamtych jeszcze czasach autentyczna rzeczywistość równoległa.

Na czym to polegało?

Po prostu - postrzegać świat i jego elementy tylko z punktu widzenia potrzeb kolei i zamknięcie obcym dostępu do obszaru kolejowego plantu. Tzn. dopuści się ich do miejsc i pomieszczeń dla pasażerów, ale dalej stop! Tylko my możemy zeskokczyć z peronu i iść w „przestrzeń kolejową” bez obawy zapłacenia mandatu karnego. Możemy demonstracyjnie wydobyć aparat i fotografować przelatujące obok pociągi, a baby zmywające ustępy w wagonach na boczniczy niech sobie wrzeszczą, że szpieg, że nie wolno ; zbrojny patrol może co najwyżej sprawdzić nasz papier z dwukolorową pieczęcią ministerstwa komunikacji i podpisem Głównego Komendanta Służby Ochrony Kolei. Na taki glejt można odpowiedzieć tylko uprzejmym zasalutowaniem, bo tak naprawdę diabli wiedzą kim jest jego okaziciel i kogo lub co sprawdza.

A my zwyczajnie pracujemy dla Muzeum Kolejnictwa w Warszawie. Wolno nam również dla siebie. Bo jesteśmy swoi. Umieemy poruszać się tu bezpiecznie, posługując się zawodowym slangiem, odczytywać sygnały, czego nie pojmiecie wy czekający na peronach na opóźniony 52613. Zresztą „osobom postronnym żadnych informacji na temat kolei udzielać nie wolno”.



My natomiast ową wiedzę zdobywamy i nawet publikujemy. Póki co w kolejarskim tygodniku „Sygnały”, który dla fanów kolei udostępnił całą ostatnią stronę, a czasem więcej. Fajnie, ale jest to epoka marnych materiałów fotograficznych i zupełnie tragicznej poligrafii. W wydruku gazety czytelny do końca może być jedynie rysunek. A taki Sułkowski potrafi ręcznie zdjęcie na rysunek ołówkiem i tuszem przerobić. Potem okazało się, że narysuje też w rzucie lokomotywę i będzie podobna do oryginału. I tak poszło.

Potem zaprzyjaźniłem się z ludźmi, którym miło było wysłać namalowaną kartkę pocztową konkretnej maszyny itp. itd. . . .

Po latach dwoje przyjaciół z Warszawy - Marysia Kaczmarczyk i Darek Krakowski zawiadomiło mnie, że urządzają z tego wystawę . . . Zaprotestować?

Ale z jakiego tytułu, skoro to, co moje, już nie moje.

No i ekspozycja zaistniała z okazji 25-lecia Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Kolei (październik i listopad 2012) w Skierńewicach, w należącej do Stowarzyszenia historycznej parowozowni – spogląda w jej stronę z peronu stacji spizowy Wokulski. Podobno w specjalnie sporządzonej kieszonkę dewizki zakochani wrzucają intencjonalne bileciki. Bo w naszej świadomości świat literatury przenika się jednak z rzeczywistością.

W następnym etapie procederu sam Prezes Fundacji „ERA PAROWOZÓW” Paweł Szczerbakow przewiózł pudła obrazów do Limanowej i dzięki uprzejmości Pani Dyrektorki Biblioteki Miejskiej ekspozycja jest.

Cóż powiem? Cały wieniec ludzi tyle dobra włożył dla dzieła wątpliwej lub przynajmniej dyskusyjnej wartości.

Jakie to dziś budujące.

A ja Wszystkim, którzy pomyśleli, pomogli i bez obrzydzenia popatrzyli, dziękuję.

Tak jeszcze na zasadzie post scriptum przyszła mi myśl zuchwała.

Otóż był w Krakowie na przełomie XIX/XX w malarz Stanisław Tondos, akwarelista realista. Z nadzwyczajną pieczołowitością i dokładnością odtwarzał na papierze architekturę miasta. Dzisiejsi historycy sztuki czy konserwatorzy zabytków jego malarską dokumentację bardziej cenią od zachowanych fotografii.

Tondos świetnie uwieczniał to, co statyczne, ale miał kłopot z ujęciem ruchu. Zawarł więc pakt z Wojciechem Kossakiem, który szybkimi maźnięciami w zupełnie innym guście i stylu domalowywał do dostojnie wyczelowanych budowli a to paru przechodniów, a to dorożkę czy konny tramwaj. I jakoś to jedno z drugim koegzystuje i jest prezentowane w albumach o Krakowie. Więc tak sobie, niegodny pomyślałem, jaki to byłby tondosizm, gdybym do pejzaży np. Zygmunta Kłosowskiego podomalowywał pociągi pod górę, z długonogą drużyną konduktorską na dodatek.

(dokończenie ze strony 21)

Boba Dylana zakwalifikował się do kolejnego etapu programu, jednak od razu swoją postawą pokazywał, że nie jest zainteresowany robieniem show. W następnym odcinku występował w grupie, która wykonywała utwór Seweryna Krajewskiego „Uciekaj moje serce”. Po tym etapie odpadł.

- Poszedłem do programu, bo zostałem zaproszony przez organizatorów. Przyznaję, że nie byłem zainteresowany przechodzeniem do kolejnych etapów. Nie odpowiadały mi telewizyjne realia, w których liczy się show, a nie poziom artystyczny. Ja do tego zwyczajnie nie pasuję – opowiada. - Owszem, pojawiły się później kolejne propozycje udziału w takich programach, ale nie byłem nimi zainteresowany. To byłoby bezsensowne i sprzeczne ze mną samym.

Obecnie Łukasz kompletuje materiał na nową płytę, nie będzie to projekt medialny, ale na pewno rozwijający krok dla młodego piosenkarza. W jaki sposób udział w programie pomaga mu w muzycznej karierze?

- W żaden – przyznaje szczerze. – Owszem to było ciekawe doświadczenie i owszem zdarzyło się, że ktoś mnie rozpoznał na stacji benzynowej, ale generalnie nie chwalebę się tym występem w towarzystwie. Uważam, że cenniejsze jest robienie swoich rzeczy nie w oparciu o show, ale o rzetelną pracę. Można się rozwijać małymi krokami, odpowiednio wyważając niezbędną rozpoznawalność ze skrupulatną pracą.

To nie baśń

Na castingi do programów talent-show nieustannie przybývają tłumy. Skąd ta popularność?

- Młodzi widzą w tym dla siebie szansę na szybką karierę, spełnienie swego amerykańskiego dream. Nasza kultura zbudowana jest na takim właśnie micie sukcesu, szybkiego i trochę niespodziewanego. Kopciuszek staje się księżniczką. Społeczeństwo potrzebuje takiego widowiska, telewizja to wie i z tego korzysta – wyjaśnia na łamach portalu NaTemat.pl socjolog prof. Zdzisław Krasnodębski.

A jednak, jak pokazują przykłady osób z naszego regionu, myli się ten, kto twierdzi, że występ w telewizji zapewni wstęp do grona celebrytów i nagle spełnią się marzenia np. o wydaniu płyty.

Co zatem daje udział w programach talent-show? Z pewnością jest ciekawym doświadczeniem, zapewnia chwilową popularność, którą można umiejętnie wykorzystać. Jak zauważają nasi rozmówcy, jeśli ma się pomysł na siebie, udział w talent-show może pomóc promocyjnie, ale podstawą sukcesu i tak pozostaje ciężka praca.

(„Dobry Tygodnik Sądecki”)

Sztuka w geście pojednania

Polsko-wschodnie pojednanie stało się udziałem limanowskiego rzeźbiarza Aleksandra Majerskiego. Jego przodków dotknęła bolesna historia, ale teraz sam wyciąga dłoń w geście przebaczenia.

Majerski pojechał do ukraińskiego Chersonia na zaproszenie żony pochodzącego z Rosji prawosławnego „batuszki” Sergieja Dmitriewa, zaangażowanego w działania na rzecz ekumenizmu. Tam przy cerkwi limanowski artysta wyrzeźbił w akacji „Jezusa Frasobliwego”. Jego praca to dar dla miejscowych na rzecz polsko-wschodniego pojednania.

- Jezus Frasobliwy to typowo polski wizerunek Chrystusa. Oto Bóg zastanawia się nad losem ludzi dotkniętych totalitaryzmem wojennym, historią – interpretuje swoją rzeźbę Majerski.

Jego dar był komentowany przez ukraińskie media jako gest pojednania, zwłaszcza, że rodzina Majerskiego została dotknięta przez zawiłą historię relacji polsko-wschodnich. Jego dziadek, grekokatolicki ksiądz, został zastrzelony w Samborze przez NKWD. Matka, urodzona na Kresach, musiała uciekać na Węgry. Ciotka została zesłana na Sybir, kuzynka trafiła do sierocińca, a wujowie zostali w Związku Radzieckim.

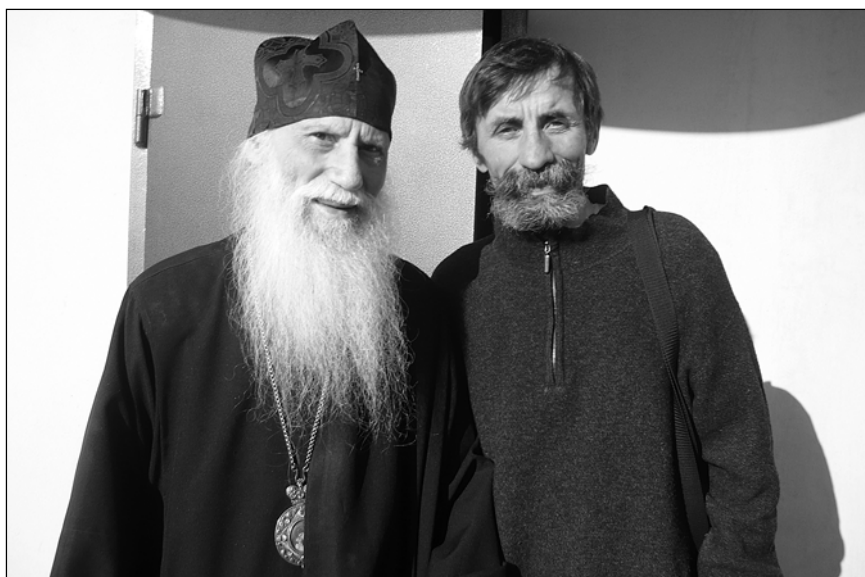


Jezus Frasobliwy Majerskiego – dar, który wita wiernych w Chersoniu.

- Wiele osób cierpiało w tamtym czasie z powodu reżimu. Dziś jednak musimy przebaczyć winy – mówi Majerski. - Jeśli sami nie będziemy dążyć do pojednania, nikt za nas oficjalnymi gestami tego nie zrobi. Trzeba oprzeć się na modlitwie i słowach: „Odpuść nam nasze winy”. Nie szukajmy ciągle wrogów. Popatrzmy na to, co nas łączy. I próbujmy budować mosty między narodami, aby nasze dzieci mogły swobodnie się rozwijać, pamiętając o historii, ale bez jej piętna. Sztuka może w tym jednoczeniu pomóc.

Tekst: Jolanta Bugajska

(„Dobry Tygodnik Sądecki”)



Arcybiskup Cerkwi Prawosławnej Damian Zamajew i limanowski rzeźbiarz Aleksander Majerski.

Rocznicowe obchody Bitwy Limanowskiej

W „przeddzień” obchodów 100. rocznicy bitwy pod Limanową na wzgórzach Jabłonec w tym roku *zrealizowano* program obchodów 98. rocznicy bitwy. Jaki był poziom uroczystości, widzieliśmy wszyscy.

Dlatego w „przeddzień” świętowania 100. rocznicy, do której jeszcze pozostało niespełna dwa lata, organizatorzy winni przygotować stosowny program obchodów dostosowany do znaczenia tej historycznej bitwy. Uroczystości przygotowane na odpowiednim poziomie mogłyby popularyzować Limanową poza jej granice. Bitwa limanowska była wydarzeniem o takim znaczeniu strategicznym w I wojnie światowej, że dziś możemy, a raczej powinniśmy, wykorzystać ten fakt do promocji w mediach współczesnej Limanowej w otoczone wydarzeń z 1914 roku. Jabłonec zasługuje na więcej, niż zapelnienie uroczystości lokalnie przygotowanym widowiskiem.

Kiedy 4 maja 2011 roku na spotkaniu autorskim z Jerzym Zoniem – dyrektorem krakowskiego Teatru KTO w Miejskiej Bibliotece w Limanowej zapytano reżysera czy gdyby zaproponowano mu przygotowanie spektaklu na 100. rocznicę bitwy pod Limanową, podjąłby się tego zadania? Odpowiedział wówczas: *Z przyjemnością.*

Dlatego uważam, że nie można tylko *zrealizować* obchodów 100. rocznicy, ale przede wszystkim należy im nadać odpowiednią rangę adekwatną do znaczenia tej bitwy. Na Limanowszczyźnie

w 1914 r. rozegrały się wydarzenia historyczne, które powinny być, przy odpowiednim przetworzeniu, jedną z inspiracji promocji miasta i regionu.

Deklaracja dyrektora Jerzego Zonia jest więc ciekawa i warta rozważenia.

Charakter bitwy pod Jabłoncem był wielonarodowościowy. Nie odczuło się tego podczas tegorocznych limanowskich obchodów. Należy przede wszystkim uszanować poległych tu żołnierzy, różnych narodowości i wyznań i nad ich mogiłami odmówić chociażby modlitwę ekumeniczną.

Osiem lat temu w czasie obchodów 90. rocznicy bitwy limanowskiej podczas centralnych uroczystości na Jabłoncu burmistrz Wathlingen Wolfgang Grubbe powiedział: *Dwudniowa lekcja historii, którą przeżyliśmy, pokazuje, że ludzie różnego pochodzenia, różnych wyznań i narodowości mogą razem żyć i budować pewną przyszłość następnymi pokoleniami.*

Marek Klinger, ówczesny generalny konsul Republiki Federalnej Niemiec, m.in. mówił: *Stoimy tu wspólnie nie jako przeciwnicy, ale jak przyjaciele w geście pojednania, w celu budowania wspólnej pokojowej przyszłości.*

Uścisk dłoni nad grobami poległych jest najściślejszym dowodem pokoju - dodał Bela Tarczai, prezes Stowarzyszenia Byłych Więźniów Wojennych z Miszkolca na Węgrzech. A podczas niedzielnej części uroczystości w czasie Mszy św. w Bazylice Matki Boskiej Bolesnej, ks. bp Władysław Bobowski apelował: *Obyśmy nie zmarnowali krwi przelanej za ojczyznę, także w tej bitwie limanowskiej, którą dziś wspominamy.*

Na koniec cytuję słowa Alberta Muhra – wnuka płk. Othmara Muhra: *Dziękuję narodowi polskiemu oraz władzom świeckim i kościelnym Limanowej, że nasi zmarli – mój dziadek i bohaterscy huzarzy spoczywają w pokoju, a miejsce ich zasłużonego wiecznego odpoczynku jest pięknie zadbane.*

Wszystkie te stwierdzenia są charakterystyczne dla współczesnych społeczeństw mających własną tożsamość należących do Unii Europejskiej, ale równocześnie dbających o suwerenność własnego narodu.

Podczas tegorocznych obchodów 98. rocznicy bitwy limanowskiej na uwagę zasługuje wystawa historyczna upamiętniająca wojenne wydarzenia na Limanowszczyźnie w roku 1914. Ekspozycja pt. „W służbie Jego Cesarskiej Mości... - Bitwa Limanowska 1914” została zorganizowana w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej.



Plansza ekspozycyjna z wystawy „W służbie Jego Cesarskiej Mości... - Bitwa Limanowska 1914”.



► W trzech salach ekspozycyjnych pokazano na planszach historyczne wydarzenia w Galicji z I wojny światowej oraz militaria z prywatnych kolekcji.

Jakkolwiek wystawa ma o wiele szerszy kontekst niż limanowska bitwa na Jabłońcu, a ilość eksponatów dotyczących bitwy limanowskiej nie jest proporcjonalna do ukazanych pozycji na wystawie, to ogólnie rzecz przyjmując wartość jej jest niewątpliwie edukacyjna powinna z niej skorzystać młodzież limanowskich szkół. Wystawę można obejrzeć do lutego 2013 roku.



Bitwa limanowska na wzgórzu Jabłoniec została stoczona podczas I wojny światowej w grudniu 1914 roku pomiędzy wojskami austro-węgierskimi a rosyjskimi. Zakończona strategicznym zwycięstwem wojsk austro-węgierskich.

Na południe od Krakowa 2 grudnia 1914 roku, rozpoczyna się tzw. operacja limanowsko-łapanowska. W natarciu wzięły udział m.in. jednostki austro-węgierskiej 4 Armii, przetrzuconej koleją z północnego brzegu Wisły. W składzie atakujących oddziałów walczyły również jednostki niemieckie (47 jedna dywizja) oraz polskie legiony. Równocześnie z uderzeniem austriackiego ugrupowania, 3 jednostki Armii rosyjskiej przystąpiły do ataku na zewnętrzną linię umocnień Krakowa. Zostały jednak zatrzymane już na pierścieniu wysuniętych pozycji polowych, nie dochodząc do fortów twierdzy, a następnie odparte przez kontruderzenie obrońców, przy walnym udziale artylerii fortowej.

Natomiast natarcie austriackie, prowadzone przez zgrupowanie gen. Jozefa von Rotha wzdłuż dolin Raby, Stradomki i Łososiny początkowo rozwijało się pomyślnie, ale już drugiego dnia bitwy zostało zahamowane w ciężkich walkach na przedpolach Łapanowa i Rajbrotu. Obrona rosyjska na tym odcinku została przełamana dopiero 7 grudnia, zaś nawet wtedy linia frontu przesunęła się zaledwie o kilka kilometrów. Na południe od Rajbrotu front austriacki, przebiegający dotąd od Krakowa w kierunku z północnego zachodu na południowy wschód, gwałtownie zakręcał ku południowi. Na ten właśnie zwrócony odcinek austriackiego frontu uderzył 6 grudnia znad Dunajca w stronę Limanowej VIII korpus rosyjski, użyty przez walczącą w Karpatach 8 Armie. Kontruderzenie Rosjan doprowadziło do groźnej dla Austriaków sytuacji, w której ich nacierające na linię Wieliczka – Rajbrot oddziały były od prawej flanki osłaniane przez słabe, drugorzędne za zwyczaj formacje Landwery i gorzej przystosowane do walki w górskim terenie jednostki spieszonyj kawalerii. Rozwinęła się zatem sytuacja, w której każda z walczących stron usiłowała przełamać prawe skrzydło przeciwnika – Austriacy w kierunku na Bochnię, Rosjanie zaś – na Limanową i Mszanę Dolną. Obie strony ścigały w rejon walk posił-



ki, dążąc do rozstrzygnięcia, a Rosjanom udało się nawet odzyskać część utraconego terenu.

Rozstrzygnięcie przyszło jednak z zupełnie innego kierunku- broniąca dotąd linii Krakowa na wschód od terenu bitwy 3 Armia austro-węgierska przeszła 7 grudnia do ofensywy. Działania rozwijały się powoli, jednak po kilku dniach przekroczone przełęcze w Beskidzie Niskim – uderzenie zaczęło się rozwijać w kierunku na Żmigród i Duklę, a 11 grudnia jednostki armii Boroewicia dotarły na przedpola Nowego Sącza. Armii rosyjskiej zaczęło grozić odcięcie linii komunikacyjnych. Bitwa była zatem właściwie rozstrzygnięta, gdy rozgorzały walki o wzgórze Jabłoniec pod Limanową, 11 grudnia zdobyte i utrzymane przez węgierskich spieszonych huzarów pod dowództwem płk. Othmara Muhra, który poległ w tym starciu. Moment ten uchodzi za przesilenie całej operacji, chociaż w momencie, kiedy jednostki VIII korpusu rosyjskiego usiłowały odzyskać Jabłoniec, rozpoczął się już odwrót obu rosyjskich armii za Dunajec, wymuszony przez postępy 3 Armii w Karpatach.

Bitwa pod Limanową doprowadziła do zatrzymania rosyjskiego naporu w kierunku zachodnim i utraty (co prawda chwilowej) przez armię rosyjską inicjatywy strategicznej. Dla Austro-Węgier oznaczała również ocalenie przed katastrofą, jaką byłoby okrążenie i obejście przez Rosjan Twierdzy Kraków. Jej zna-

czenie jest zatem porównywalne z rezultatem, jaki przyniosła zaledwie dwa miesiące wcześniej I bitwa nad Marną na froncie zachodnim. Oprócz odwrotu 3 Armii Dimitriewa, Rosjanie byli zmuszeni cofnąć swoją linię frontu również na północnym brzegu Wisły. Siłom austro-węgierskim udało się odzyskać część utraconych w Galicji terenów, co było tym cenniejsze, iż zwycięstwo odniosły armie wyczerpane kilkumiesięcznymi, zwykle niekorzystnymi dla nich walkami, w warunkach późnej jesieni, częściowo w górskim terenie i to prowadząc zaczepne operacje przeciwko silniejszemu przeciwnikowi.

Warto podkreślić, że pomimo katastrofalnych strat w czasie kilku miesięcy zacieklej walk, poprzedzających bitwę pod Limanową, armia austro-węgierska odniosła ten sukces właściwie samodzielnie, przy niewielkim wsparciu niemieckiego sojusznika.

Po bitwie limanowskiej ciężar walk przeniósł się w Karpaty. Od tego momentu aż do przełamania pod Gorlicami punktem ciężkości frontu galicyjskiego stał się oblężony Przemyśl, który siły austro-węgierskie starały się odblokować.

Opracowanie i fotografie:
Stanisław Ociepka

Reprodukcje tablic:
Muzeum Ziemi Limanowskiej

UPALNE LATO W ŚNIEGU I LODZIE CZYLI JAK ZDOBYĆ PIERSI DZIEWICY

Elbrus, nazywany też „Piersiami dziewicy”, „Wieczną Górą”, „Górą Tysiąca Gór”, a nawet „Górą Przynoszącą Szczęście” lub Oszhomaho, jest położonym na terenie Kabardo-Balkarii najwyższym szczytem Kaukazu i jednocześnie najwyższym szczytem Rosji. Ma dwie kopuły szczytowe, utworzone przez erupcję wygasłego obecnie wulkanu. Kratery wulkanu są wypełnione lodem i śniegiem. Wyższy zachodni wierzchołek, który był celem wyprawy, wznosi się na wysokość 5642 m n.p.m., natomiast niższy wschodni ma wysokość 5621 m n.p.m. Pokryty wiecznym śniegiem Elbrus jest silnie zlodowacony - znajduje się na nim ponad 50 lodowców o łącznej powierzchni ok. 140 km², dlatego bywa nazywany Małą Antarktydą. Z uwagi na fakt, że jest to szczyt zaliczany przez niektórych do Europy, wchodzi, jako piąty pod względem wysokości, w skład tzw. Korony Ziemi (www.7summits.com/).



Powyżej: Masyw Elbrusa w chmurach – cel wyprawy, wypatrywany podczas trekkingu na Czeget.

U góry: Wierzchołki Elbrusa, widziane powyżej stacji Stary Krugozor, w drodze do stacji Mir.

Po latach na wyprawę do Rosji

Składając wniosek wizowy, miałem dylemat, czy lecę do tego kraju po raz pierwszy. W zasadzie nie, ponieważ byłem tam już w lutym 1979 roku (kiedy wylot samolotu do Moskwy został przesunięty o jeden dzień z powodu tragicznego wybuchu gazu w Rotundzie PKO w Warszawie). Ale wtedy była to stolica innego kraju. Przy okazji chcę zobaczyć, na ile innego. Jest upalny początek lata 2012 roku. W sobotę, 7 lipca, o 8⁴⁵ spotykamy się na lotnisku F. Chopina w Warszawie. W 13-osobowym zespole rozpoczynamy kolejną „wysokopienną” wyprawę. Mamy zarezerwowany przedpołudniowy lot do Moskwy. Lecimy dwie godziny, a w Moskwie, z uwagi na dwie godziny różnicy czasu, jesteśmy ok. 14⁰⁰. W stolicy Rosji, na lotnisku Szeremietiewo, w dość szybkim tempie szukamy terminala D, skąd odlatują samoloty linii krajowych. O 17⁴⁰ przesiadamy się na sa-

molot do Mineralnych Wód w Kraju Stawropolskim, gdzie lądujemy ok. godz. 20⁰⁰ czasu lokalnego. Jesteśmy na przedgórzu Wielkiego Kaukazu. Teraz, po zakończeniu wszystkich formalności, czeka nas blisko trzygodzinna jazda (ok. 180 km) wynajętym minibusem do stacji Azau w dolinie rzeki Baksan w górach Kaukazu. W hotelu, położonym tuż obok stacji kolejki linowej w masywie Elbrusa, niespodziewanie witają nas spóźnioną kolacją, co jest dobrą okazją do niewielkiego relaksu po długiej podróży. Rozpakowanie bagażu może poczekać. Warunki w hotelu są lepsze od oczekiwanych. Z przekonaniem, że od jutra zaczynamy górską aklimatyzację, o 2³⁰ kładziemy się spać.

Aklimatyzacyjne trekkingi

Na niedzielę mamy zaplanowany całodzienny trekking. Bezpośrednio po śniadaniu, ok. 9³⁰ wyruszamy kilkukilometrowym odcinkiem szosy do centrum miejsco-

wości Terskol, skąd startuje najpierw dwu-, a następnie jednokrzeselkowa kolejka linowa na Czeget – szczyt o wysokości 3460 m n.p.m. Z górnej stacji na wysokości 3100 m idziemy „szlakiem”, na którym ruch jest dość duży, ale nie ma co się dziwić – jest niedziela i piękna pogoda. Doskonałe warunki do robienia zdjęć. Podziwiam ośnieżone szczyty okolicznych czterotysięczników, w tym ten z lodowcem „7”. Po raz pierwszy widzę biały szczyt Elbrusa. Po kilkugodzinnym trekkingu zaczynamy schodzić, ponieważ ostatni turyści mogą zjeżdżać o godz. 16⁰⁰. Korzystając z dwóch kolejek, po około godzinie jesteśmy na dolnej stacji, gdzie zatrzymujemy się na posiłek, zamawiając miejscowe szaszłyki i piwo „Wysota 5642” – ta wysokość, a nie piwo, jest tutaj naszym celem. Po powrocie do hotelu prysznic, kolacja i o 22⁰⁰ zmęczony kładę się spać. Jak większość uczestników wyprawy, zostałem „oderwany od biurka” i aklimatyzacja jest niezbędnym elementem przygotowania do ataku szczytowego, w dużym stopniu decydującym o sukcesie.

W poniedziałek, 9 lipca, zmiana pogody, zniknęło słońce. W planie trekkingu aklimatyzacyjny do miejscowego obserwatorium. Po śniadaniu, o 8⁰⁰ wyruszamy z hotelu, jest jeszcze sucho. Gdy jesteśmy w drodze do obserwatorium zaczyna kropić, później padać. Całą drogę „pod górę” towarzyszy nam mgła, mżawka lub deszcz. W „obserwatorium” (cudzyśłów z uwagi na charakter obiektu, który okazuje się „top secret”) jesteśmy po ok. 4 godzinach wędrówki, ok. 13⁰⁰. Deszcz wciąż pada, więc kolejny raz przebieramy się i postanawiamy schodzić. Teraz idziemy szybciej i po około dwóch godzinach jesteśmy na szosie. Zatrzymujemy okazję i niebawem „ładujemy” w hotelu. Popołudnie i wieczór przeznaczamy na wypoczynek i relaks. Dzisiejszy dzień przypomina nam o znaczeniu pogody podczas wysokogórskiej wyprawy.

Następny dzień, ze względu na nie najlepszą pogodę, jest bez konkretnego planu - „róbta co chceta”. Po późniejszym niż zwykle śniadaniu pada deszcz. Dzień zapowiada się bardzo spokojny. Można odspać zaległości, czytać, ale... jednak sformułowała się „grupa zwiadowcza”, która postanowiła rozpoznać teren i wyruszyła kolejką na zbocza Elbrusa. Nadeszła dobra wiadomość, że czym wyżej, tym lepsza pogoda. Nie było czasu na zastanawianie się. Przed południem wyjechaliśmy kolejką gondolową na stację pośrednią Stary Krugozor (ok. 2900 m), następnie, po przesiadce, do dolnej stacji kolejki krzeselkowej Mir (ok. 3400 m). Warto dodać, że kolejka gondolowa (taka jak na Jaworzynie Krynickiej) jest nowa i nowoczesna oraz kursuje równoległe do kolejki linowej „klasycznej” (jak dawniej na Kasprowy Wierch). Natomiast krzeselka są stare i mocno wyeksploatowane. Z kolejki mamy fantastyczny widok na dwa wierzchołki Elbrusa – zachodni wyższy i wschodni o 20 m niższy. Gdy docieramy na górna stację - Garabazi, położoną na wysokości ok. 3800 m n.p.m. szczyty przykrywają chmury. Jesteśmy w górskim schronisku, tzw. „Beczkach” („Barrels”). Po krótkim rozejrzeniu się (być może będziemy tutaj mieszkać) wyruszamy w kierunku kolejnego schroniska Priut, na wysokości ok. 4150 m n.p.m. Postanowiłem wędrować do godz. 14³⁰ i wracać do kolejki przed jej zamknięciem. W międzyczasie Jacek przysłał SMS, że ostatnie krzeselka odjeżdżają o 15⁰⁰ – więc trzeba się spieszyć. W efekcie zjeżdżam jako ostatni. Krótki rekonesans okazał się bardzo potrzebny i ciekawy, ale dla niektórych uczestników zaowocował oparzeniem twarzy – przedpołudniowe słońce, które pojawiło się niespodziewanie po porannych mgłach, i biały śnieg zrobiły swoje. Niespodziewanie powstał zespół „poparzeni Słońcem”. Po powrocie do hotelu „zarządzone” zostało pakowanie na wyjście w masyw Elbrusa. Ostatnia szansa na skompletowanie wyposażenia lub ubioru. Wejście na szczyt nie jest trudne technicznie, ale podczas wieczornej „odprawy” dyskutujemy, jaki przyjąć plan ataku na szczyt i o czym nie należy zapomnieć – wiadomo, o sukcesie decydują szczegóły i drobiazgi.

Na Elbrusa

Jest środa, 11 lipca 2012 r. Trwają ostatnie przygotowania sprzętu i ubrań do aklimatyzacyjnych trekkingów na zboczach Elbrusa i ataku szczytowego. Po śniadaniu udajemy się na stację dolną kolejki linowej. Tym razem jedziemy kolejką „tradycyjną”. Jest tłoczno, ale OK. Następnie na krzeselkach dojeżdżamy do górnej stacji. Trafiamy do „turbazy”, składającej się z 6-osobowych „domków” w kształcie dużych, stalowych, leżących cylindrów, a właściwie beczek. W bazie może nocować ok. 60 turystów. Biorąc pod uwagę bliskość cywilizacji,

warunki bytowe są prymitywne. Podobna sytuacja jest w drugiej, wyżej położonej bazie Priut i może trochę lepsza w towarzyszącym jej domku „Maria”. Kuchnia i stołówka mocno „okupowane”, woda jest donoszona z zewnątrz, a o toaletach lepiej nie wspominać. Ale co tam – założmy, że jesteśmy w głębokim interiorze. Dyskusja toczy się głównie wokół pytania, kto do Priuta jedzie ratrakiem, a kto dochodzi, nocuje i startuje z górnej bazy. Po zakwaterowaniu wychodzimy na aklimatyzacyjny trekking w kierunku Skał Pastuchowa, na wysokości ok. 4700 m n.p.m. Aklimatyzacja na tej wysokości jest bardzo ważna. Z powodu bardzo gęstej mgły brak atrakcyjnych widoków, za to trzeba wypatrywać ledwo widocznych tyczek. Przed skrzętem do schroniska Priut, kierowca ratraka podwozi mnie na poziom Skał Pastuchowa (na <http://www.panoramy.wyprawy.org/pastuchowa.php> - panorama części Kaukazu, polecam). Ratrak jedzie „odebrać” uczestników wspinaczki na szczyt, którzy potrzebują wsparcia. Gdy zaczynam schodzić, mijam zdziwionych współtowarzyszy, którzy wyszli wcześniej, ale jeszcze wspinali się do Skał Pastuchowa. Bez pośpiechu, zatrzymując się na dłuższy postój w schronisku Priut, schodzę do bazy z „beczkami”. W międzyczasie siąpi niewielka mżawka, ale da się wędrować. Na miejscu jestem ok. godz. 18⁰⁰. Po kolacji dość szybko kładziemy się spać. W beczkach jest ok. 10 °C, więc nie ma problemu z zasypianiem.



Autor wśród przyjaźnie nastawionych do „wizytanta” walecznych z natury Czerkiesów.

Czwartek jest kolejnym dniem aklimatyzacyjnym. Część uczestników wyprawy postanawia jeszcze trenować. Jadą rano ratrakiem do Skał Pastuchowa, by następnie zejść do bazy. Ja zostaję w bazie, odpoczywam i, cokolwiek by to miało znaczyć, „zbieram” siły. Jako dodatkowa atrakcja, przed południem w naszym „tourist centre” pojawili się ludzie w regionalnych strojach – czerkieskach, z charakterystycznymi gilzami na piersiach. Okazało się, że są to Czerkiesi, którzy towarzyszą rodzinie przybyłym do Rosji z Izraela. Przy okazji dowiedziałem się trochę o ich ciekawej historii i tradycyjnej waleczności czerkieskich mężczyzn. Wieczorem powoli zaczyna się udzielać napięcie związane z planowanym atakiem szczytowym. Po ustaleniu pobudki na drugą w nocy wcześniej idziemy spać. ▶

► Dzień ataku szczytowego wypadu w piątek, 13 lipca 2012 r. Ostatecznie wszyscy startujemy z poziomu bazy „Beczki”. Czas biegnie bardzo szybko: niewielkie śniadanie, ubranie stosowne do warunków wyprawy, dopakowanie plecaka szturmowego i punktualnie o 3⁰⁰ sadowimy się w ratraku, który ma nas wywieźć na poziom Skał Pastuchowa. Niespodziewanie podstawiono nam ratrak z kabiną (większość pojazdów śnieżnych jest z odkrytą skrzynią). To rozwiązanie okazało się bardzo dobre, bo przy pierwszym podjeździe pojazd gąsienicowy zepsuł się. Na szczęście po kilkunastu minutach został naprawiony i mogliśmy jechać dalej i wyżej. Spod Skał Pastuchowa wyruszamy około czwartej w nocy. Jest jeszcze ciemno. Na zboczu migają tylko lampki – czołówki. Myślę sobie, że bardzo dobrze, bo nie widać przed nami góry. Śniegu sporo. Zakosami idziemy ostro pod górę. Około 4³⁰ zaczyna szarzeć. Można się rozejrzeć wokoło. Jesteśmy na stromym zboczu wschodniego szczytu. Grupa uformowana początkowo w „tramwaj”, jak zawsze w naszym przypadku, szybko rozpada się na 2-3 części. Ja preferuję indywidualne tempo, więc większość trasy pokonuję bez towarzystwa – cytuję za S. Lachowskim: „*w górach człowiek nie jest samotny, nawet, jeśli jest sam*”. Początkowo idziemy ekspozycją wschodnią, ale nie ma słońca. W momencie, gdy zaczyna się ono pojawiać, wchodzimy na południowe zbocze wschodniego szczytu i po godzinie siódmej wciąż jesteśmy w cieniu. Jest dość zimno. Wszyscy przyspieszają, aby wejść w siodło pomiędzy kopułami, a następnie na wschodnią stronę zachodniego szczytu. Na zboczach obu wierzchołków ścieżki są dość wąskie i trzeba bardzo uważać, aby się nie poślizgnąć. Zjazd po stromym stoku zawsze jest niebezpieczny. W siodle (wys. ok. 5300 m n.p.m.) wydeptany szlak jest szeroki i można zorganizować krótki postój, połączony z pierwszym posiłkiem. Teraz ruch na szlaku jest trochę większy, jedni zwalniają, inni zaś przyspieszają. Trawers w dość głębokim, kopnym śniegu na wschodnim zboczu zachodniego wierzchołka wymaga szczególnego skupienia. Nikt nie robi takiej „reklamy” Górze, ale to tutaj rok wcześniej moi współwędrowcy na Mont Blanc zjechali setki metrów w dół, doznając niebezpiecznych kontuzji. Wyjście na wypłaszczenie pod szczytem zachodnim zwiastuje sukces. Jest godzina 9⁰⁰. Od tego miejsca zaczynają pojawiać się pierwsi zdobywcy, którzy schodzą ze szczytu. W moich uszach brzmi mantra tragarzy spod Kilimandżaro: *pole-pole* (spokojnie, wolno), w końcu jesteśmy na wysokości ponad 5 tys. m n.p.m. Z wypłaszczenia jeszcze niewielkie, ale strome zbocze i... JESTEM na szczycie - 5642 m n.p.m. Wspaniała pogoda, doskonała widoczność, niezapomniane widoki (można je obejrzeć na <http://www.panoramy.wyprawy.org/elbrus.php>, ale bez słońca). Było warto. Tuż przede mną na szczyt „wtargnęli” żołnierze OMON-u z Murmańska (nie wiem, czy dla przyjemności, czy w ramach ćwiczeń) – w górę wystrzeliły petardy i fajerwerki. Nawet trudno było zrobić zdjęcie przy szczytowym „obelisku”. W międzyczasie na szczyt dotarł Leszek w towarzystwie Danusi i Sylwii. W tej chwili już nie bujamy w obłokach. Jesteśmy ponad chmurami. Rozglądam się wokoło, na północ Rosja, na południe Gruzja. Mniej więcej po pół godziny schodzę ze szczytu. Droga powrotna prowadzi „po śladach”. Na przedszczytowym wypłaszczeniu spotykam Jacka, który słysząc o bliskości szczytu, deklaruje „no to już chyba wejść”. Zapamiętałem jeszcze z hotelowych „rozgaworów”, że na szczyt należy wejść przed południem, a po dwunastej zarządzać odwrót, aby nie mieć problemów z powrotem. Tak więc rokowa-

nia na pełny sukces w naszej grupie są dobre. Znowu trawers. Widać z niego wschodnią „Piers Dziewicy”. Jak się później okazało, Krystian nie mógł takiej okazji przepuścić i postanowił ją zdobyć „z marszu”. Teraz, już nie spiesząc się, chłonę widoki, przystaję dla posilenia się, zrobienia zdjęć i korekty ubraniowej. Mijamy się ze współwędrowcami, nie rejestrując ściśle, kto przede mną, kto za. Na wysokości 5 tys. m n.p.m. podzielność uwagi i spostrzegawczość, zwłaszcza przy słabej widoczności, jest ograniczona. Po przejściu siodła wędruję sam, ale na południowym zboczu wschodniego wierzchołka doganiają mnie Iwona i Marek. Jest kolejna okazja do zrobienia sobie kilku zdjęć na tle kaukaskich szczytów, powyżej warstwy chmur kłębiastych. Jesteśmy na ostatniej prostej. Perspektywa szybkiego dotarcia do Skał Pastuchowa jest na tyle kusząca, że niektórzy ryzykują zjazd na czymkolwiek, np. na większym worku foliowym. To nie jest propozycja dla mnie, schodzę na własnych nogach. W końcówce wędrowki spotykam się z Krystianem i razem dochodzimy do Skał Pastuchowa. Tutaj niespodzianka. Część naszej ekipy zdecydowała się wezwać ratrak. Przychodzimy „na gotowe”. Wsiadamy do śnieżnej taksówki. Czuję, że wraz z „wyluzowaniem” opadają ze mnie resztki sił. Po kilkudziesięciominutowej jeździe podejście kilkuset metrów do beczek staje się trudne. Około 16⁰⁰ jestem w bazie. Na powitanie Andrzej i Monika „zorganizowali” po butelce coli. Takie momenty pamiętam bardzo długo.

... i do domu

W sobotę po śniadaniu zarządzamy pakowanie i „ewakuujemy” się z „turbazy” do przysiółka Azau, zabierając swoje bagaże i odpady. Dobre i to, chociaż widoku porzuconego złomu i totalnego bałaganu to nie zmieni. Planując wyprawę, jeden dzień został zarezerwowany na oczekiwanie dogodnych warunków pogodowych. Ponieważ skorzystaliśmy z pierwszej możliwej okazji, w niedzielę mamy dodatkowy dzień na relaks: odpoczynek, spacer i... notatki z wyprawy. Na obiad wybraлиśmy się do miejscowej restauracji, w której zamówiliśmy ryby. Jednak wcześniej trzeba było je własnoręcznie złowić w pobliskim basenie. Postanawiamy przyspieszyć wyjazd z Terskol i w poniedziałek zobaczyć jeszcze ok. 80-tysięczne Mineralne Wody. W tym mieście można dostrzec, że zmiany postępują wolniej niż w Moskwie: na jednym z placów stoi pomnik towarzysza Iljicza, w innym miejscu na skwerze popiersie K. Marksa, gdzie indziej ulica jego imienia. We wtorek, 17 lipca, z niecierpliwością oczekujemy na lotnisku na samolot do Moskwy, gdzie mamy przesiadkę do Warszawy. Jest to o tyle ważne, że połowa naszej grupy jeszcze w tym samym dniu, cztery godziny po przylocie do stolicy, przesiada się na Okęcie na samolot do... Tbilisi, stolicy Gruzji. Okazało się, że kilkudziesięciokilometrową drogę z Kaukazu Północnego w dziewicze doliny Swanetii, z uwagi na konflikty graniczne Rosji i Gruzji, najłatwiej i najtaniej będzie odbyć samolotem przez Moskwę i Warszawę. Zadowolony, że lipcowe upały przeczekałem w masywie Elbrusa, z uwagi na wcześniejsze plany zostaję w Polsce, z postanowieniem, że w Kaukaz Wschodni i na degustację gruzińskich win wyprawię się „innym razem”.

Andrzej KULIG

Fotografie ze zbioru A. Kuliga



Powyżej: O świcie, w drodze na szczyt - powyżej Skal Pastuchowa, w tle panorama rosyjsko-gruzińskiego Kaukazu.

Na dole: Szczyt Elbrusa - oczywiście z pięcioramienną gwiazdą i innymi „pamiątkami”.

ELBRUS 2012

Fotografie: arch. Andrzeja Kuliga

Długo nie mogłem oderwać oczu i obiektywu aparatu od majestatycznego lodowca „Siódemka” na zboczu Donguzorun (4458 m n.p.m.).



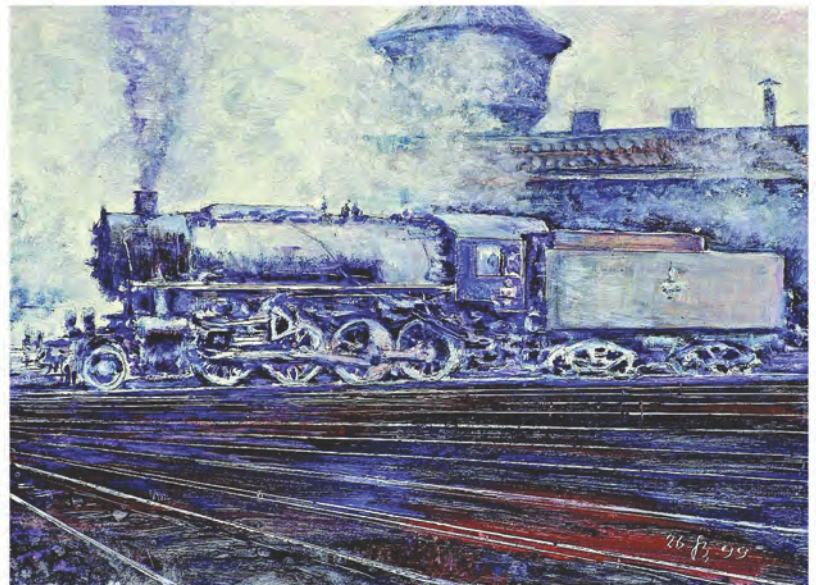
Powyżej: Aklimatyzacyjny trekking w pełnym słońcu na szczyt Czegetu.

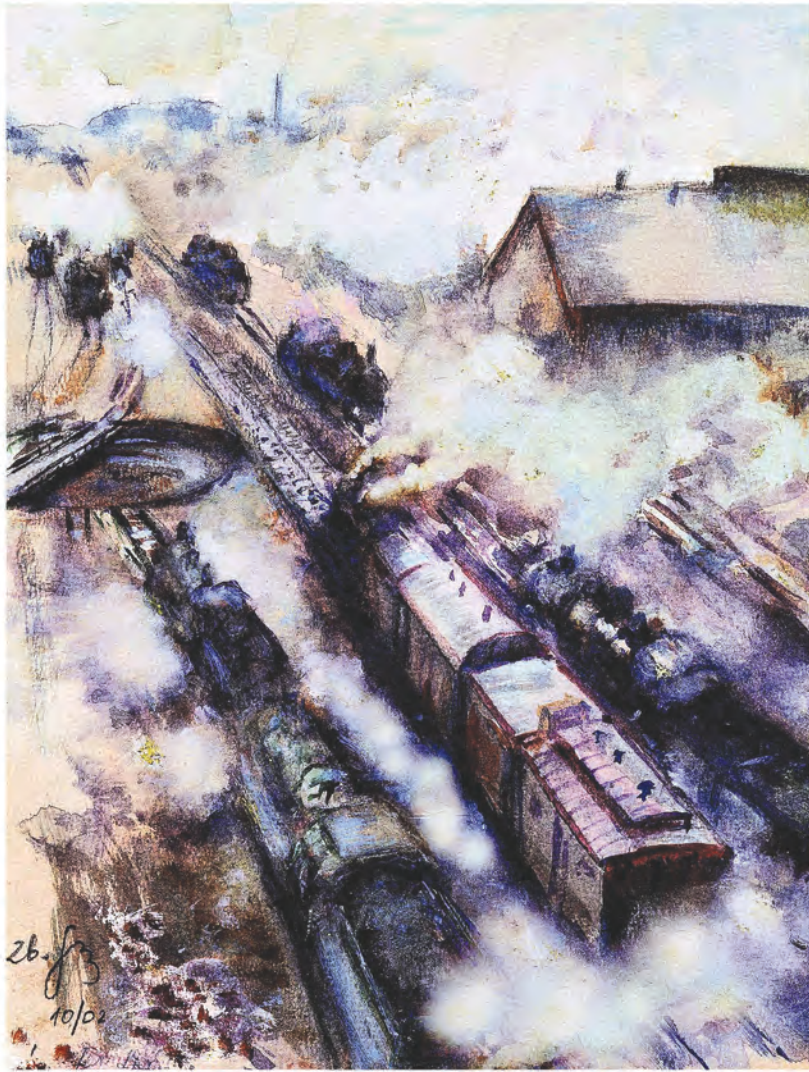
Poniżej: Szczęśliwi zdobywcy na szczycie Elbrusa - autor z Danutą, Leszkiem i Sylwią.





Zbigniew Sułkowski
KOLEJ
Na papierze, płótnie...





Galeria Sztuki w Limanowej - 2012



polecamy jedyne na rynku produkty bez dodatków „E”



Szynka
ze Starej Wsi



Kielbasa
szynkowa
ze Starej Wsi



Kielbasa
pieczona
ze Starej Wsi



Poledwica
ze Starej Wsi

Szubryt[®]
ZAKŁADY MIĘSNE



Tajemnicze odkrycie

Kto wie, jaką tajemniczą bronią oręża rycerstwa polskiego kryje Ziemia Limanowska. Wprawdzie w historii dziejów nie odnotowano tu istotnych potyczek, to jednak odnajdywane są w pobliskich okolicach pojedyncze ciekawe egzemplarze broni rycerskiej. Przykładem jest tajemniczy cep bojowy, broń piechoty późnego średniowiecza (XV wiek), jak mówi Marek Pankiewicz miłośnik pamiątek historycznych, tzw. staroci.

Jaka jest historia jego odkrycia?

Górskie rzeki i potoki Beskidu Wypowego zawsze były tajemnicze i groźne. W pogodne dni wiją się niepozornie wśród wzniesień i gór, zaś w dni burzowo – deszczowe przybierają na sile i stają się groźnymi rwącymi strumieniami olbrzymiej ilości wód spływających z ogromną siłą niszczących wszystko na swojej drodze.

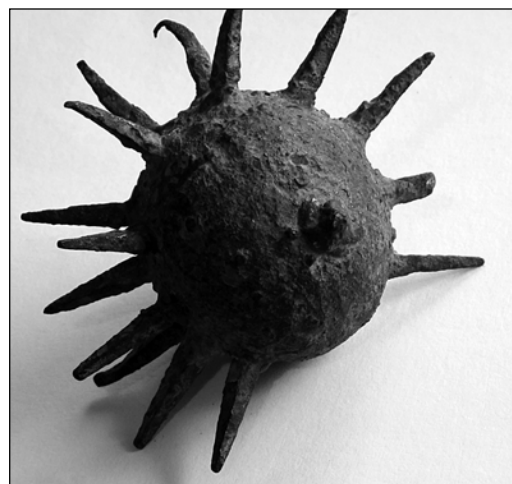
W pierwszej połowie lat 80-tych XX wieku, po opadnięciu wezbranych wód, odkrywca nasz wybrał się na spacer wzdłuż koryta tajemniczych limanowskich rzek. Na wysokości ujścia Sowlinki do Łososinki (w rejonie poniżej mostu prowadzącego do Łososiny Górnej) odnalazł ciekawą sztukę broni wojowników piechoty, która prawdopodobnie przyniesiona na ten teren z nurtem rzeki została z jej brzegów wymyta przez płynącą wodę.

Miłośnik staroci zaciekawiony zdobyczą i chęcią wzbogacenia własnej kolekcji zabrał egzemplarz do domu. Nie był jednak do końca przekonany co do wartości zdobyczy, jaką odnalazł podczas tej

wędrówki. Aby zidentyfikować tajemnicze znalezisko dokonał porównania owego okazu z reprodukcjami w albumie broni średniowiecznej. Z własnego ustalenia jednak nie był usatysfakcjonowany, dlatego udał się do Desy (przedsiębiorstwa zajmującego się dziełami sztuki i antyków) w Krakowie, aby uzyskać fachową opinię. Po wstępnej ekspertyzie eksponatu przez pracownika Desy, limanowski odkrywca skierowany został do Muzeum Historycznego Miasta Krakowa. Przyjął go pracownik Muzeum i tu pierwsze wielkie zdumienie. Przekonany, że przynosi cenną sztukę broni, która powinna wzbudzić zainteresowanie pracownika muzeum, poczuł się rozczarowany gdy okazało się, że ten nie wykazał zbyt wielkiego zainteresowania. Dopiero kiedy nasz odkrywca powiedział, że pragnie odnalezione egzemplarz przekazać do zbiorów Muzeum, wówczas pracownik dokonał skrupulatnych oględzin owego okazu twierdząc, że jest to cep bojowy – broń piechoty późnego średniowiecza.

W ten sposób uzyskawszy fachową ekspertyzę, zadowolony, ładnie podziękował, zabrał eksponat i udał się w powrotną drogę do Limanowej.

Owa sztuka broni po dzień dzisiejszy, obok innych wyeksponowana jest w jego kolekcji.



Cep bojowy – broń drzewcowa używana w średniowieczu podobna do zwykłego cepa. Cep bojowy składał się z solidnego drzewca służącego za uchwyt, do którego przymocowany jest metalowy pręt, nabijany ostrymi kawałkami metalu lub kamieni lub też żelazna kula ze szpikulcami. Te dwa elementy są łączone krótkimi łańcuchami lub mocnymi rzemieniami. Używana przez piechotę do XVI wieku. Często wykorzystywana w powstaniach chłopskich w XVII wieku.

Dojeżdż do klienta!

Complex

Biuro:
Galeria Tip-Top, Limanowa
ul. Piłsudskiego 20

ZWROT PODATKU za pracę za granicą
Anglia, Irlandia, Holandia, USA, Niemcy, Norwegia, Belgia, Austria
brak opłat wstępnych, średni zwrot 3000 PLN!, szybko i sprawnie

KREDYTY I POŻYCZKI
Oferta kilkunastu banków, wysoka przyznawalność, bez dochodu

UBEZPIECZENIA
Komunikacyjne, majątkowe, na życie, rolne - raty bez dodatkowych zwyżek!

Kontakt:
(0-18) 33 37 662
kom 515 069 707

Wszystkie usługi on-line!

www.complex-limanowa.pl



Rodzinne zdjęcie przed dworem przy fontannie. Fot. z arch. Muzeum Ziemi Limanowskiej.



Otwarty ganek na podjeździe przed wejściem do dworu.

Z kart historii starowiejskiego dworu i limanowskiego ogrodu

Okres przedwojenny - opis majątku rodziny Marsów cz. II

Z upływem lat w wielu dawnych dworach i majątkach, nie tylko w Małopolsce, pierwotne zagospodarowanie uległo likwidacji, zmianie lub zatarciu. Według Stanisława Króla „*trudno dzisiaj odtworzyć ich układ przestrzenny i sposób funkcjonowania*”¹. Dlatego interesująca okazała się próba * przedstawienia zagospodarowania centralnej części majątku w Starej Wsi, skupionej wokół dworu. Zamieszczony w artykule plan zagospodarowania mieszkalnej i gospodarczej części majątku rodziny Marsów został zrekonstruowany na podstawie wspomnień Jadwigi Rzeszutkowej i Anny Łosiowej, córek Włodzimierza i Marii Florentyny z Marsów Prus-Paygertów, udostępnionych przez Piotra Łosia, oraz wiedzy autora. W Limanowej konsultacje w sprawie szczegółowej lokalizacji i przeznaczenia budynków Stanisław Ociepka przeprowadził z Tadeuszem Szubrytem, Antonim Mamakiem i Zygmuntem Skibińskim, którzy w okresie powojennym pracowali w POM-ie i KFAP-ie, funkcjonującymi w dawnym majątku Marsów.

* * *

Do majątku Marsów należało kierować się w stronę Starej Wsi, której granica przebiegała przy nieistniejącym już drewnianym moście na Potoku Jabłonieckim. Z południowo-zachodniego narożnika limanowskiego Rynku do dworu prowadziła ulica Starowiejska, która później

była ulicą Legionową, a w 1933 roku została nazwana ul. Marcelego Bursztyna (byłego burmistrza Limanowej). Za mostem na Potoku Jabłonieckim, na wprost biegła droga do dworu (na planie obiekt nr 1) oraz dworskiego parku i ogrodu. Skręcając w lewo, można było wjechać

na teren browaru, a w prawo dotrzeć drogą do Starej Wsi lub przez drewniany most na Potoku Starowiejskim na Lipowe. Reprezentacyjny wjazd do majątku odbywał się drogą pomiędzy budynkami browaru przez bramę (ob. 31) na wprost gazonu (ob. 29) przed dworem. Gazon obsadzony był wysokimi krzewami bzu, zasłaniającymi niżej położone budynki gospodarcze browaru. Z lewej strony podjazdu zlokalizowana była fontanna (ob. 30).

Centrum życia rodzinnego i społeczno-kulturalnego rodziny Marsów stanowił modrzewiowy dwór, zbudowany na przełomie XVIII i XIX w. Był to obiekt parterowy, nakryty „polskim” mansardowym (łamanym) dachem, pierwotnie pokrytym gontem, a obecnie czarną dachówką. Na podjeździe, przed głównym wejściem do dworu, był charakterystyczny dla dworów szlacheckich otwarty ganek, na którego stropie, wspartym na czterech kolumnach, urządzone pokój mieszkalny. Dwór miał układ traktowy, z pomieszcze-



Fot. ze zbioru E. Cichoń



Modrzewiowy dwór - widok od strony podwórza. Fot. ze zbioru E. Cichoń.

niami rozmieszczonymi w amfiladzie, zakończonej od strony wschodniej werandą (ob. 2). W latach 30. ub. stulecia wewnątrz dworu na parterze było 12 pokoi: pośrodku salon, z prawej strony duża jadalnia, dalej kredens (spizarnia) i kuchnia oraz pokoje służby, a od strony podwórza sypialnia i sala bilardowa, po lewej stronie pokój werandowy oraz dwa pokoje gościnne. Na piętrze były dwa pomieszczenia mieszkalne, m.in. dla gości. Dwór był gustownie urządzone: jadalnia w stylu gdańskim, a wszystkie pozostałe pokoje umeblowane w stylu *empire*, w kolorze mahoniu. W pokojach, nie tylko w salonie, wisiały liczne obrazy.

Bezpośrednio do budynku dworu, od strony wschodniej, przylegała drewniana weranda o funkcjach wypoczynkowych, z której wychodziło się do dworskiego parku (obecnie park miejski). Dwór znajdował się w otoczeniu pięknych drzew i okazałych krzewów, pomiędzy którymi wytyczono alejki oraz założono rabaty z kwiatami. Warto podkreślić, że Pani Krystyna Mars-Gawlikowska, poproszona o uwagi do artykułu, „wykopała” z pamięci właśnie informację o starych drzewach, które rosły na terenie parkowo-ogrodowym. Otaczano je specjalną opieką, gdyż stanowiły pewną botaniczną „wyjątkowość”. Blisko werandy rosły 3 dorodne, długowieczne, liczące ponad 100 lat, zdrowe limby. Spacerując w głąb

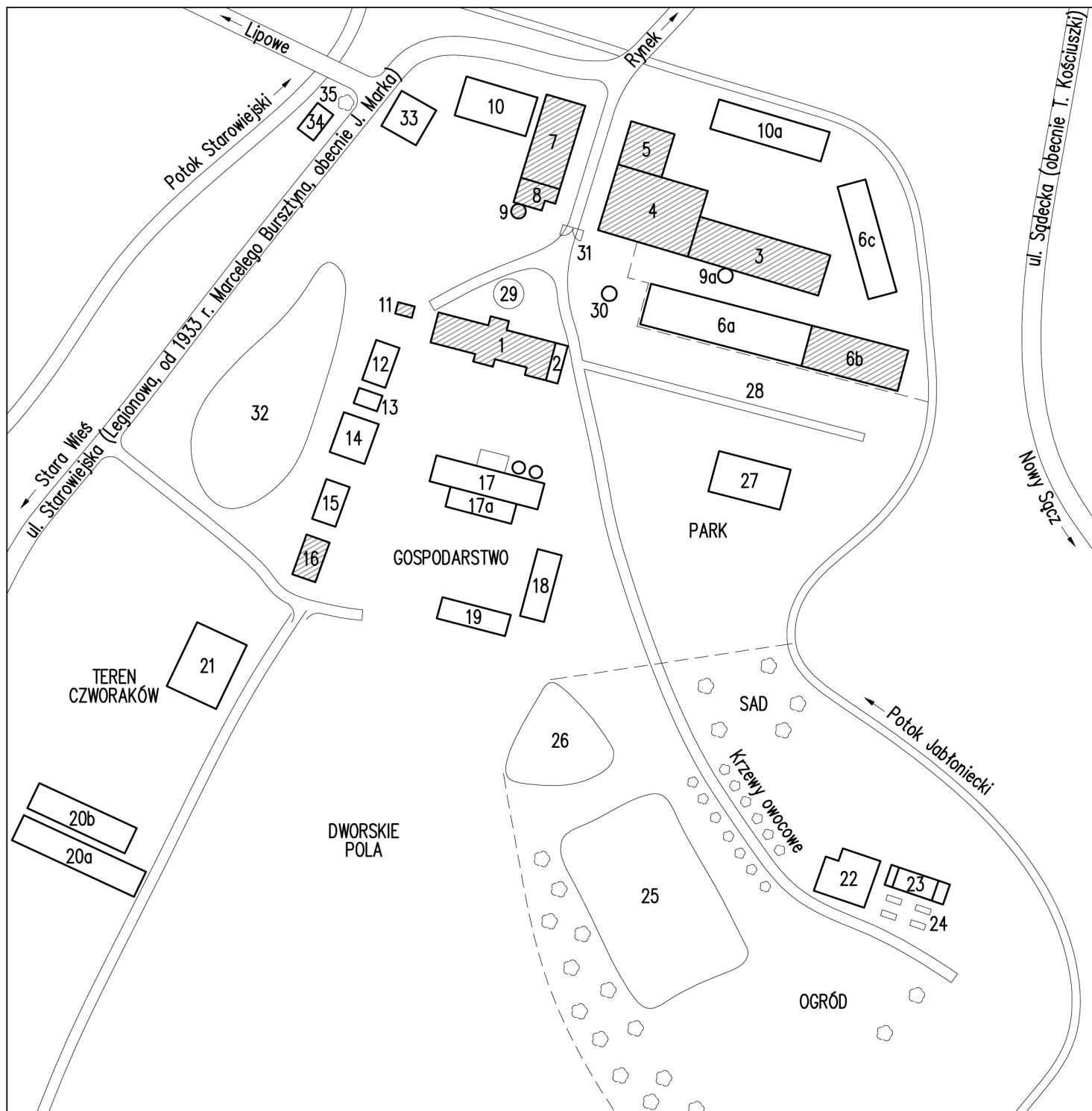
parku aleją grabową (ob. 28), po lewej stronie widziano wysoki mur, będący tylną ścianą budynków magazynowych browaru, a po prawej park, za którym w kierunku południowym położony był ogród kwiatowy i warzywny. Jak napisał P. Łoś „... *niewielki, ale ładnie urządzonego ogród (tu w znaczeniu - park), rozplanowany starannie, był oczkiem w głowie Jadwigi Marsowej, która pielęgnowała w nim srebrne świerki, buki, bzy, jaśminy i róże.*”². W centralnej części parku, w niewielkim zagłębieniu terenu, urzą-

dzony był kort tenisowy (ob. 27). W parku, bliżej ogrodu, rosły dwa stare cisy (jeden był otoczony niewielkim płotkiem), trzy hikory (orzeszniki, zwane także przeorzechem) oraz istniejący do dzisiaj dąb.

Ogród położony był za parkiem, na stosunkowo płaskim terenie, ograniczonym od strony południowo-wschodniej doliną Potoku Jabłonieckiego, a od strony zachodniej wzniesieniem dworskich pól. W jego centralnej części znajdował się dom mieszkalny ogrodnika (ob. 22), dwie cieplarnie (ob. 23) i jednospadowe



Ulica Starowiejska prowadząca z dworu Marsów do limanowskiego rynku - przełom XIX i XX wieku. Fot. z arch. Muzeum Ziemi Limanowskiej.

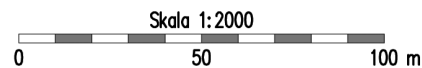
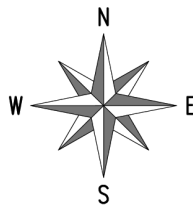


STARA WIEŚ (LIMANOWA) – MAJATEK RODZINY MARSÓW

Legenda:

- Budowle istniejące
- Obiekty nieistniejące

- | | |
|---|--|
| <ul style="list-style-type: none"> 1. Dwór 2. Weranda 3.-5. Budynki browaru 6a.-6c. Magazyny browaru 7. Browar 8. Kociołnia browaru 9,9a. Komin 10. Tzw. "żółta kamienica" 10a. Budynek mieszkalny 11. Kaplica dworska 12. Królikarnia 13. Kuźnia 14. Spichlerz i wozownia 15. "Dom pod sroką" (mieszkalny) 16. Dom rządcy | <ul style="list-style-type: none"> 17. Obora (z rampą i silosami) 17a. Gnojownik 18. Chlewnia 19. Stajnia i kurnik 20a.,20b. Stodoły 21. Czworaki 22. Dom ogrodnika 23. Szklarnie (cieplarnie) 24. Inspekty 25. Staw (w ogrodzie) – duży 26. Staw (zeutrofizowany) – mały 27. Kort tenisowy 28. Aleja grabowa 29. Gazon 30. Fontanna 31. Brama wjazdowa 32. Staw 33. Posterunek policji 34. Zlewnia mleka (budynek drewniany) 35. Topola |
|---|--|



opr. Paweł i Andrzej Kulig
kons. Stanisław Ociepka

drewniane inspeky, nakrywane „oknami” – oszklonymi ramami (ob. 24). Stąd pochodziły m.in. nowalijki na potrzeby dworu, np. świeża sałata. W pobliżu domu ogrodnika rósł dwustuletni platan z łuszczącą się korą. Jako drzewo cieplejszego klimatu osłonięty był od działania wiatrów zachodnich wysoką skarpą. Tzw. „Ogrodnikówka” była domem drewnianym, częściowo podpiwniczonym, z obszernym strychem pod spadzistym dachem krytym dachówką. Główna część mieszkalna obejmowała duży pokój i kuchnię, obszerną sien i „składzik”. Oddzielne wejście prowadziło do mieszkania dwuizbowego. Od strony wschodniej i południowej dom otaczał niewielki ogródek. Na wschodniej ścianie domu rozpięte były dwa winne krzewy. Wspomniany w I części artykułu Leopold Mars, uczestnik wypadków 1848 r. w Galicji i wojny krymskiej, porucznik Kozaków Sułtańskich i pamiętnikarz (zmarł w 1885 r.), po powrocie do kraju, pod koniec życia mieszkał w „Ogrodnikówce”. Ciepłarnie, zlokalizowane za domem ogrodnika (mniejsza bliżej, większa trochę dalej), miały charakter budowli zagłębionych w gruncie. Składały się z części pomocniczej - murowanej i zasadniczej, hodowlanej - pokrytej szkłem. W ogrodzie urządzono też warzywnik i niewielki sad starego typu, w którym rosły głównie jabłonie. W majątku było kilka połączonych w system stawów, w których hodowano karpie, głównie na potrzeby dworu. Dwa stawy znajdowały się

przy ogrodzie - jeden większy (ob. 25) i połączony z nim mniejszy (ob. 26), porośnięty roślinnością wodną (zeutrofizowany). W pobliżu stawów (lub między nimi) rósł stary rozłożysty buk czerwony, którego pnia trójka dzieci nie była w stanie objąć rękami. Prawdopodobnie jeden staw był poniżej zabudowań dworskich od strony zachodniej (ob. 32), przy ul. Starowiejskiej.

Po lewej stronie dojazdowej drogi do dworu, aż do Potoku Jabłonieckiego, znajdowały się budynki produkcyjne (ob. 3 - 5) i magazynowe (ob. 6a - 6c) funkcjonującego w ramach majątku browaru. Browar Antoniego Marsa początkowo był dzierzawiony Żydom, ale wobec niezadowolającego gospodarowania tym zakładem w 1890 r. został przejęty przez właściciela, który w latach 90. XIX wieku rozbudował go, wyposażył w nowe urządzenia i doprowadził wodociąg. Kompleks budynków browaru, tuż przed rozpoczęciem przebudowy i po rozbudowie, został przedstawiony na zdjęciach w albumie „*Okruchy pamięci - Limanowa na nowszej fotografii*” (na stronie 68). Główny budynek browaru, wzniesiony po prawej stronie drogi do dworu, obejmował tzw. maszynownię i kotłownię (ob. 7 - 8). Za nim stała drewniana słodownia. Przy kotłowni postawiono stojący do dzisiaj komin (ob. 9). Starszy komin (ob. 9a) został rozebrany ponad sto lat temu, w okresie modernizacji browaru. W owym czasie browar należał do najlepszych na ziemiach polskich - był to

pierwszy w kraju browar, w którym zastosowano metodę gotowania parą. Jak pisze S. Król, prąd produkowany w parowej maszynowni browaru służył nie tylko do celów technologicznych, ale także zasilał dwór, kościół i latarnie na limanowskim rynku. Jedynie w okresie okupacji do oświetlenia dworu używano lamp karbidowych i naftowych. Na początku XX w. Browar Zygmunta Marsa i Brata w Limanowej przynosił dochody. Marsowie nie mieli własnej plantacji chmielu, więc surowiec do produkcji piwa musieli kupować, np. jęczmień sprowadzali ze Słowacji i Węgier. Produkowali doskonale „piwo marcowe”, „bok limanowski” i „piwo sarmackie eksportowe” oraz „piwo bawarskie” i „piwo złote” (co wynika m.in. z treści naklejek z kolekcji J. Drożdżaka). Piwo sprzedawano na terenie powiatu limanowskiego, nowosądeckiego i myślenickiego oraz eksportowano do słowackiego Bardejova i na Węgry. Nie udało się jednak skutecznie rozwiązać problemu dystrybucji i transportu piwa. W okresie kryzysu gospodarczego, w pierwszej połowie lat 30. ub. wieku, zaprzestano produkcji piwa. Budynki browaru zostały w znacznej części zachowane do czasów współczesnych, chociaż ich funkcje, zwłaszcza w ostatnich kilkunastu latach, uległy zmianie.

Za budynkiem dworu, po zachodniej, prawej stronie ciągnął się szereg zabudowań. Pierwszą budowlę stanowiła istniejąca do dziś neogotycka kaplica dworska (ob. 11), w której przed wojną



Widok z werandy na alejki w centralnej części parku. Fot. ze zbioru E. Cichoń.



Tzw. „Ogrodnikówka” pokryta winoroślą pnącą się po drewnianych stelażach - widok od strony wschodniej. Fot. ze zbioru E. Cichoń.

▶ odbywały się uroczystości rodzinne, np. śluby, nabożeństwa majowe oraz umieszczano zmarłych w oczekiwaniu na pogrzeb. Za kaplicą, w kierunku południowym, szereg budynków składał się z (ob. 12 - 16): królikarni przeznaczonej na hodowlę długowłosych rasowych angorów, kuźni, spichlerza z wozownią do przechowywania karety i lekkich powozów - linierek, oraz mieszkalnego „Domu pod sroką” i domu rządcy. Murowany parterowy budynek, zwany „Domem pod sroką”, był ozdobiony tabliczką z rysunkiem sroki. Był on najstarszym (starszym od dworu) budynkiem w majątku, przeznaczonym dla gości, którym udostępniano pokoje. Jak pisze P. Łoś, w „Domu pod sroką” mieszkała siostra Jadwigi Marsowej, a podczas okupacji osoby wysiedlone z Lwowa.

W 1930 roku majątek w Starej Wsi liczył 432 ha, głównie lasu i pastwisk. Grunty one wykorzystywano pod uprawę podstawowych zbóż i ziemniaków na potrzeby dworu i gospodarstwa hodowlanego. Zabudowania gospodarskie znajdowały się za budynkiem dworu, od strony południowej. Budynki folwarczne: obora krów zarodowych z rampą i silosami (ob. 17), solidny parterowy budynek chlewni (ob. 18) oraz drewniana stajnia i wozownia do przechowywania gospodarskich pojazdów konnych, która pełniła także funkcję kurnika (ob. 19), tworzyły razem kwadratowe podwórze gospodarskie. Folwarczny plac z okresu okupacji przedstawia fotografia w albumie „Okruchy pamięci - Limanowa na starej fotografii” (s. 244), na której na pierwszym planie widać niemiecki ciągnik marki Lanz Bulldog, a za nim na wprost znajduje się budynek chlewni. Wizytówką gospodarstwa była hodowla bydła rasy czerwonej polskiej, której krowy dawały mleko z dobrym poziomem tłuszczu (dochodzącym do ok. 6%), cenne dla serowarni, a mięso wołowe było poszukiwane przez najlepsze restauracje w Polsce i Austrii, cenili je smakosze befsztyków w Wiedniu i innych miastach. Hodowla, za którą Marsowie byli nagradzani i wyróżniani, stanowiła główne źródło dochodów. Aby uświadomić sobie, jak istotna i doceniana była to działalność gospodarcza, wystarczy wspomnieć fakt, że prezydent Ignacy Mościcki w lipcu 1929 r. wizytował gospodarstwa hodowli bydła czerwonego właśnie w Starej Wsi k. Limanowej i w Jodłowniku (w majątku Romerów)³. Pionierem hodowli bydła czerwonego polskiego był brat Zygmunta, Stanisław Oktawian

Mars, właściciel majątku Stróża k. Myślenic i Glinna k. Lwowa oraz przemysłowiec naftowy. W majątku w Starej Wsi konie były wykorzystywane zarówno do prac rolniczych, jak i w zaprzęgu do powozów. Hodowano także ok. 20 świń i owce. W kurniku hodowano perliczki, których jaja wysyłano podczas wojny do Krakowa. Paszę i siano dla bydła magazynowano na piętrze (strychu) obory oraz w stodołach (ob. 20a i 20b), położonych

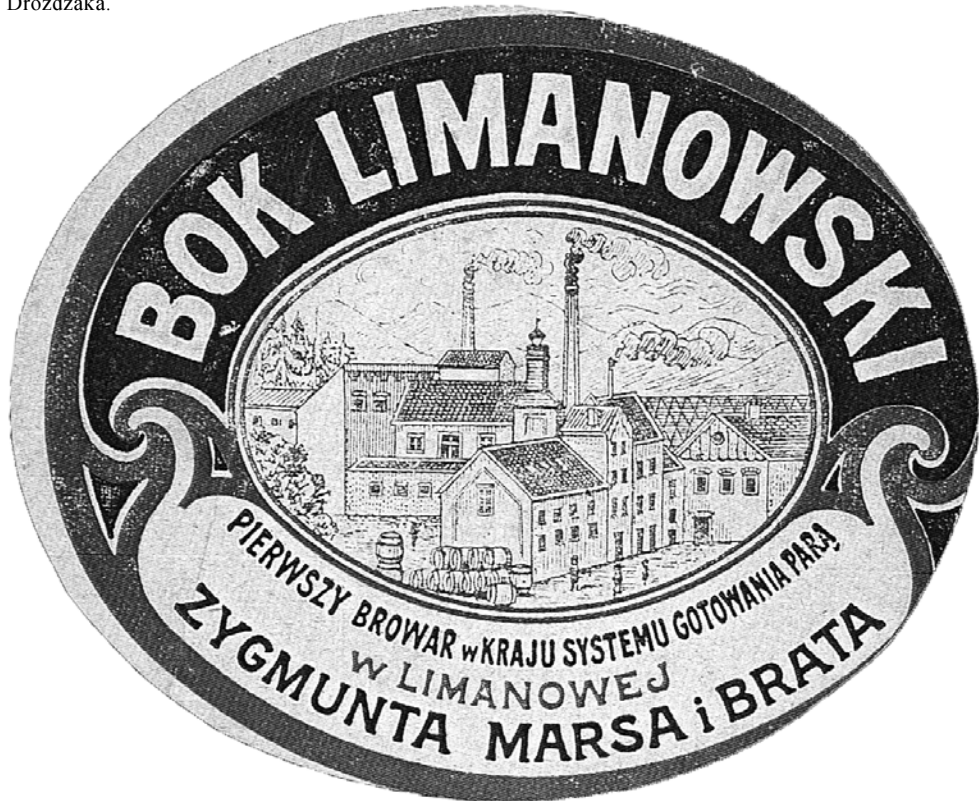
na południowym obrzeżu folwarku. Brak jest dokładniejszych danych na temat dworskich „czworaków” (ob. 21).

W sąsiedztwie browaru znajdowały się dwa budynki mieszkalne (ob. 10, 10a). Wzdłuż ul. Starowiejskiej, biegnącej przy Potoku Jabłonieckim, znajdował się, nieistniejący już, piętrowy budynek mieszkalny - tzw. „żółta kamienica” (ob. 10). W budynku 10a w okresie wojny, gdy okupanci zajęli gmach Szkoły Podstawowej



Powyżej: Główne zabudowania browaru Zygmunta Marsa i Brata w Limanowej oraz droga prowadząca do dworu - początek XX wieku. Fot. arch. Muzeum Ziemi Limanowskiej.

Poniżej: Etykieta piwa „bok limanowski” produkowanego w browarze braci Marsów. Ze zbioru Jacka Drożdżaka.





W dworze - pozyskiwanie angorskiej wełny (moheru).
Fot. ze zbioru K. Mars-Gawlikowskiej

Przędzenie wełny na kołowrotku.
Fot. ze zbioru K. Mars-Gawlikowskiej.

U Marsów w dworze w okresie I wojny światowej - z prawej Władysława Marsowa, żona Kazimierza, babka Krystyny Mars-Gawlikowskiej.
Fot. ze zbioru K. Mars-Gawlikowskiej.

przy ul. M. Konopnickiej na koszary, prowadzono lekcje, o czym wspomina m.in. Z. Szumilas⁴. Przed wojną końcowy odcinek Potoku Jabłonieckiego był odkryty. Zabudowano go w tunelu dopiero w latach 60. ub. stulecia (głównie z uwagi na uciążliwość zapachów, powstających w następstwie zanieczyszczenia potoku ściekami z terenu „Owocarni”). Przy zakęcie drogi, na wprost mostu prowadzącego na Lipowe, zlokalizowany był piętrowy budynek o funkcjach administracyjnych (ob. 33), w którym mieścił się posterunek policji. W tym budynku po wojnie zorganizowano przedszkole. Widok tej części zabudowań przedstawiono na fotografii w albumie *Okruchy pamięci – Suplement* (s. 69). W drewnianym budynku po drugiej stronie ul. Starowiejskiej, obok ogromnej topoli (ob. 35), mieściła się zlewnia mleka (ob. 34).

Na koniec trzeba dodać, że przedstawiony opis dotyczy okresu kilkudziesięciu lat, w których majątek podlegał licznym zmianom, a jego niektóre elementy nie występowały równocześnie. Z dawnych zabudowań dworskich do czasów współczesnych pozostało niewiele: dwór, główne zabudowania browaru oraz kaplica dworska i dawny dom rządcy. Można też wspomnieć o grobowej kaplicy, znajdującej się na cmentarzu parafialnym w Limanowej. Aby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak jest, należy przedstawić losy majątku Marsów po wojnie.

c.d.n.

Andrzej KULIG

Warszawa, listopad 2012 r.

W części III - historia okresu powojennego

* Piszę „próbę”, ponieważ mimo zweryfikowania planu, jak tylko było to możliwe, trudno wykluczyć dalsze poprawki. Dlatego będę wdzięczny za wszelkie uwagi Czytelników, przekazane na e-adres:

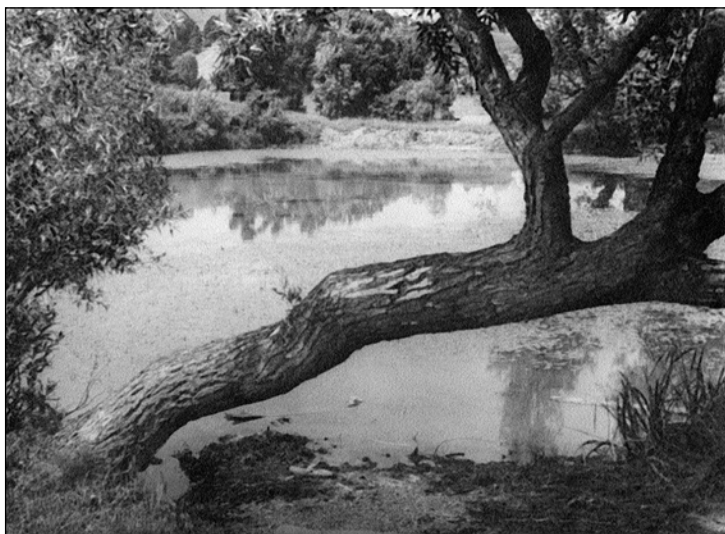
Andrzej.Kulig@is.pw.edu.pl lub adres Redakcji „EL”.

¹ Król S. (2007): *Starowiejski majątek rodziny Marsów*. „EL” Nr 154-155. Rok XV lipiec-sierpień, s. 38-40.

² Łoś P. Sz. (2005): *Szkiecy do portretu ziemian polskich XX wieku*. Oficyna Wydawnicza „Rytm”. Warszawa.

³ Dyląg M., Kowalski R. (2012): *Wizyta Ignacego Mościckiego w Limanowej*. „EL” Nr 214-215. Rok XX, s. 37-39, 49, lipiec-sierpień.

⁴ Szumilas Z. (2012): *Osoba wielkiego serca – wspomnienia o Eugenii Wolf*. „EL” Nr 212-213. Rok XX maj-czerwiec, s. 42-45.



Nad dużym stawem w ogrodzie - widok od strony południowej.
Fot. ze zbioru E. Cichoń.



Krowy nad jednym ze stawów na dworskich polach w Starej Wsi.
Fot. ze zbioru E. Cichoń.

O pierwszym limanowskim aptekarzu Antonim Müllerze wiemy niewiele. Krótki jego biogram można odnaleźć w „Księżde limanowian”- Elżbiety Wojtas Ciborskiej, nieco więcej informacji znajduje się w książce Macieja Bileka zatytułowanej „Apteki i aptekarze południowej Małopolski do 1951 roku”.

W publikacjach tych m. in. zostało napisane: *Antoni Müller przybył do Limanowej z Nowego Sącza około 1850 rok – informacja ta nie do końca jest prawdziwa, o czym w dalszej części artykułu.*

Czerpiąc z zasobów wiedzy zgromadzonej w materiałach wyżej wymienionych pozycji oraz sięgając do informacji przekazanej przez mgr far. Krystynę Bączkowską – Cynke, a także pod wpływem fotografii przedstawiającej budynek pierwszej apteki pradziadka p. Krystyny z drugiej połowy XIX wieku, napisałem artykuł zatytułowany „Pierwsza apteka w Limanowej” („EL” nr 190 -191 z lipca – sierpnia 2010 roku).

We wstępie tego historycznego rysu napisałem: *Czy wszystko już zostało opowiedziane o działalności pierwszych limanowskich aptekarzy? Czy odnalezione zostały najistotniejsze dokumenty potwierdzające ich działalność? Okazuje się, że nie. Prawdopodobnie trudno będzie kiedykolwiek odtworzyć dzieje tej rodziny. Cieszy więc najdrobniejsze odkrycie, które potwierdza i wzbogaca wiedzę o tej rodzinie, jakże znaczącej w tym okresie dla rozwoju naszego miasta.*

Po roku od wynalezienia tej fotografii w archiwach rodzinnych Krystyny Bączkowskiej–Cynke, życiowe Jej losy potoczyły się niespodziewanie tragicznie. Nagle poważnie zachorowała, co w konsekwencji doprowadziło do jej śmierci, w maju 2012 roku. Wydawało się wówczas, że opis dziejów historii limanowskich aptekarzy całkowicie został już zamknięty i trudno będzie w jakichkolwiek źródłach odnaleźć informacje o tej pionierskiej aptekarskiej rodzinie z Limanowej.

Dane w tym rysie historycznym oparte są na dokumentach pozyskanych z archiwów parafialnych w Limanowej. Są to: metryki chrztów, ślubów, zgonów i wypisy z ksiąg metrykalnych z wykazem rodziny Müllerów opisanych w „Rodzinnej Kronice”. Uzasadniam to dlatego, bowiem gdy uważny Czytelnik skonfrontuje informacje z napisami na płycie epitafijnej odnowionego w 2011 r. nagrobku Antoniego Müllera na parafialnym cmentarzu w Limanowej, zauważy szereg niezgodności. Nagrobek został zmieniony przez śp. Krystynę Bączkowską–Cynke, prawnuczkę Müllera, która z wielkim sentymentem odnosiła się do tradycji rodzinnych i pragnęła po przeszło 125. latach od jego usta-

wienia przedłużyć pamięć o swoich przodkach, odrestaurowując go. Niestety napisy na pierwotnym nagrobku były zniszczone przez bieg czasu (ostatni zapis pochodził z 1885 roku), stały się więc trudne do odczytania. Z tego to prawdopodobnie powodu pojawiły się błędy w niektórych zapisach, bowiem p. Krystyna nie dysponowała dokumentami potwierdzającymi lata urodzin i śmierci osób tu spoczywających, oprócz aktów zgonów pradziadków: Karoliny i Antoniego. Podane informacje w tym artykule porządkują więc wiedzę o tej rodzinie.

Nieprawdą jest, że historia wielopokoleniowej rodziny jedynych limanowskich aptekarzy rozpoczyna się od Anto-

A jednak. Dziś do znanych już wydarzeń z życia i pracy Antoniego Müllera należy dopisać kolejne. Uczynić to można dzięki Marioli z Kwiatkowskich Wilk z Tarnowa, która jest jednym z wielu potomków Antoniego Müllera. Ona to właśnie pragnąc poznać losy tzw. limanowskiej linii Müllerów, poszukiwała kontaktów w Limanowej z kimś, kto mógłby jej wiedzę wzbogacić.

Historia rodziny napisana przez jej ciotkę Ewę z Kwiatkowskich Gładysińską w „Kronice Rodzinnej” zawiera wiele faktów o tej rodzinie, a wątek limanowski zamyka się śmiercią Antoniego Müllera. Córki zaś jego, które urodziły się w Limanowej z różnych przyczyn opuściły nasze miasto, tylko los Franciszki był całkowicie niewiadomy i to skłoniło p. Mariolę do poszukiwań w Limanowej.

I tak poprzez Muzeum Ziemi Limanowskiej dotarło do mojej osoby. Uznano, że jestem jedną z tych nielicznych osób, która posiada dobrą wiedzę o limanowskiej linii Müllerów. Wiedza ta była niezbędna przy pracy związanej z opracowaniem albumu fotograficznego „Okrucy pamięci”, w którym zostało umieszczonych szereg zdjęć ukazujących tę czteropokoleniową rodzinę aptekarzy. Uznano również, że informacje uzyskane w Limanowej pozwolą zapewne na uzupełnienie „Kroniki Rodzinnej” o brakujące wątki dotyczące Franciszki Müllerówny.

Ucieszył mnie więc ten cenny nowy kontakt, dzięki któremu mogłem dokonać wzajemnej wymiany posiadanych wiadomości, a materiały przekazane przez p. Mariolę Wilk stały się źródłem na dopełnienie brakujących wydarzeń odnoszących się do wczesnych lat z życia Antoniego Müllera. Pozwoliło to również na sprostowanie nieścisłości i podjęcie próby wyjaśnienia przekłamań.

Czynię to w poniższym artykule.

niego Müllera, jak prezentowały do tej pory różnego rodzaju publikatory w tym również „Echo Limanowskie”.

Pierwszym odnotowanym w dokumentach aptekarzem limanowskim był Ludwik Müller, ojciec Antoniego, który prowadził jedyną w powiecie aptekę. Młody Antoni ur. w 1813 roku był najstarszym synem Józefiny z domu Sobotnik i Ludwika Müllera. W roku 1842 odbył się w Limanowej ślub dziewiętnastoletniej Karoliny (ur. 1823 r.) z Heinleinów ze starszym o dziesięć lat kawalerem Antonim Müllerem.

Należy dodać, że Karolina Heinlein była córką Katarzyny Schoebe (wyznania luterańskiego) i Tomasza Heinleina, którzy



Apteka Antoniego Müllera w Limanowej około 1865 r.



Antoni Müller (1813-1884).



Karolina z Heinleinów Müller (1823-1885) - żona Antoniego, przy altanie w ogrodzie.

należeli do znacznych limanowskich zamożnych i patriotycznych rodów.

Antoni Müller uzyskuje tytuł mgr. farmacji we Lwowie i przez pewien okres jako kawaler od 1835 roku zatrudniony był w aptece obwodowej Jana Woycikowskiego w Nowym Sączu (być może pracował tam jako praktykant). Powraca do Limanowej, by drogą spadku odziedziczyć jedyną aptekę w Limanowej po ojcu Ludwiku.

Apteka mieściła się w budynku obok drewnianego kościoła tuż koło plebanii od strony wyjazdu z Limanowej do Krakowa.

Był to obszerny dom murowany z dachem krytym dachówką i świadczył o dużej zaможności właścicieli. Apteka przez wiele lat dobrze prosperowała. Na tyłach domu był duży ogród z altaną, za nim plac zabaw dla dzieci, jak wynika z przekazów rodzinnych.

Rodzina Müllerów była liczna – pięć córek i trzech synów. Dom tej znacznej rodziny był wykwinny, przykładny i prowadzony jak się mówiło wtedy „na wysokiej stopie”. Odpowiedniego poziomu życia wymagała pozycja Antoniego

Müllera, który pełnił różnego rodzaju funkcje społeczne m. in. był wiceburmistrzem Limanowej.

O poziom życia dbała jego żona Karolina. Poza służącą, kucharką, była bona do dzieci i „Fraulein” ucząca dzieci języków obcych i gry na fortepianie.

Najstarszą córką Müllerów była Bronisława Antonina (1847–1926), następnie dzieci w kolejności to: *Władysław* (1850- 1856), *Leokadia Józefa* (1853–??), *Antoni Henryk Julian* (1855 – 1880), *Aleksandra Alojza* (1857-1881),



Bronisława z Müllerów Głębocka w stroju żałobnym po upadku Powstania Styczniowego.



Leokadia z Müllerów Kwiatkowska z wnuczką Alą Sredniow.



Franciszka z Müllerów Zubrzycka przed bramą domu przy ul. Krakowskiej w Limanowej.



Franciszka Gabriela (1859–1932), Stanisław Józef (1862–1869), Antonina Maria Eugenia (1865–??).

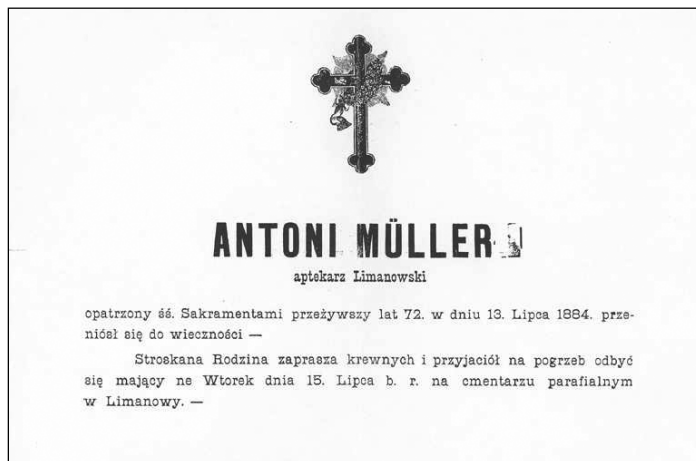
Jakie były losy dzieci Karoliny i Antoniego Müllera, które miały w pewnym sensie wpływ na dalsze dzieje rodziny aptekarskiej w Limanowej?

Najstarsza Bronisława Antonina Müllerówna wychodzi za mąż za Teodora Izzydora Głębockiego h. Lubicz, syna limanowskiego adwokata. Teodor brał udział w Powstaniu Styczniowym. Ślub odbył się w 1869 r. w Limanowej. Druga zaś Leokadia Józefa wychodzi za mąż za Stanisława Kwiatkowskiego h. Nowina, limanowskiego rejenta pochodzącego z Kielecczyny, który za działalność polityczną zesłany był na Syberię, a po powrocie osiedlił się w Galicji w Limanowej. Z pierwszego małżeństwa m. in. jest córka Wanda Amalia Głębocka (1875-1932), zaś z drugiego małżeństwa Henryk Kwiatkowski (1875-1948). Kuzynowie Wanda i Henryk za zgodą papieża Leona XIII pobierają się w 1898r. w Krakowie. Oni właśnie są pradziadkami dla p. Marioli z Kwiatkowskich Wilk, która udostępniła materiały dotyczące rodziny Müllera, spisane w „Kronice Rodzinnej” przez ciotkę Ewę z Kwiatkowskich Gładysińską wnuczkę tychże.

Powróćmy do kolejnych córek Antoniego Müllera, o Alicji Alexandrze nic nie wiadomo. Najmłodsza Antonina Maria Eugenia była zakonnicą. Jak wspominałem wszystkie wyjechały z Limanowej. Pozostała jedynie Franciszka Gabriela, (której losy dla rodziny były nieznane, stąd poszukiwania p. Marioli Wilk), ale o tym w dalszej części wspomnień.

Dwaj synowie poumierali jako dzieci: na szkarlatynę 6-letni Władziu w sierpniu 1856 roku, na dyfteryt Staś siedmiolatek zmarł w listopadzie 1869 roku. Trzeci syn młodzieńki magister farmacji Antoni Henryk Julian, któremu ojciec Antoni miał wkrótce przekazać aptekę limanowską zmarł nagle jako 25 letni młodzieniec w marcu 1880 roku. Jak mówiło się w rodzinie był miłym przystojnym blondynem, czytany i bardzo wrażliwym. Pasjonował się sprawami społecznymi.

Po tragedii jaką była utrata trzeciego syna Karolina i Antoni Müllerowie załamali się. W powstałej sytuacji Antoni zgłasza do Gremium Aptekarskiego w Krakowie zapotrzebowanie



Powyżej: nekrolog Antoniego Müllera.

Obok: Pierwszy nagrobek na parafialnym cmentarzu w Limanowej - 1884 r.

do pomocy przy pracy w aptece młodego magistra farmacji. Na ogłoszenie to odpowiada Walerian Wieniawa Zubrzycki, który do Limanowej przybywa w 1881 roku. Zdobywa szybko zaufanie swego przełożonego, co więcej żeni się z Franciszką Gabriellą Müllerówną.

Po tragicznych przeżyciach Antoni Müller podupada na zdrowiu i 13 lipca 1884 roku umiera. Żegnała go pogrążona w rozpacz liczna rodzina i podobno tłumy limanowian.

Aptekę przejęła żona Antoniego, Karolina, a Walerian Zubrzycki w tym czasie zarządza apteką. Po roku (1885r.) umiera Karolina, a z dniem 20 marca 1885 roku apteka przechodzi na własność magistra Waleriana Wieniawy Zubrzyckiego męża Franciszki- córki Karoliny i Antoniego Müllera. W ten sposób kończy się okres pracy rodu Müllera w limanowskiej aptece, a rozpoczyna rodziny Zubrzyckich.

Walerian i Franciszka z Müllera Zubrzyccy mają czworo dzieci: Januarego, Klementynę, Wiktoria i Marię. Dwie córki Klementyna i Wiktoria poszły w ślady rodzinnych tradycji i ukończyły studia farmaceutyczne w 1910 roku na Uniwersytecie Jagiellońskim i podjęły pracę w aptece ojca w Limanowej.

Należy zaznaczyć, że Walerian Wieniawa Zubrzycki – burmistrz Limanowej dwóch kadencji przed I wojną światową (zm. 1927 r.) oraz jego żona Franciszka z Müllera (zm. 1932 r.), są pochowani na parafialnym cmentarzu w Limanowej w grobie matki Waleriana, Wiktorii Zubrzyckiej (nie ma napisów na płycie tego grobu).



Spotkanie rodzin Kwiatkowskich i Zubrzyckich ok. 1915 r.

O dalszych losach jednak pięciopokoleniowej rodziny - jak dziś już wiemy, a nie czteropokoleniowej limanowskich aptekarzy pisałem w kilku poprzednich wydaniach „Echa Limanowskiego”. W jednym z nich („EL” – nr 216 – 217 z września – października 2012 r.), przedstawiłem drzewo genealogiczne tej rodziny, dziś okazuje się, że należy je zmodyfikować i uzupełnić o linie rodziny Müllerów.

P.S. Konsekwencją wymiany korespondencji mailowej pomiędzy potomkami Antoniego Müllera, a moją osobą było spotkanie w Limanowej 5 grudnia 2012 roku. Na parafialnym cmentarzu po raz pierwszy przy grobie rodziny Müllerów zgromadzili się jego praprawnukowie: Mariola z Kwiatkowskich Wilk z Tarnowa oraz Jacek Szumański z żoną Ewą z Nysy. Po wskazaniu miejsc spoczynku: Müllerów, Zubrzyckich, Bączkowskich, Górnych, Postawów – potomków limanowskiej linii Müllerów na grobie pioniera limanowskich aptekarzy po 128 latach od śmierci Antoniego jego praprawnukowie zapalili symboliczny znicz.

Dalsza wymiana uwag związana z historią tej wielopokoleniowej rodziny, której korzenie są w Limanowej odbyła się w restauracji „Stary Browar”. Jak przystało na tradycję w tej części spotkania uczestniczył Jakub Tokarz, limanowski farmaceuta, który po studiach pracę rozpoczął w aptece „Pod Gwiazdą”, pracując przez rok z Krystyną Bączkowską-Cynke, prawnuczką Antoniego Müllera. Spotkanie było bardzo sympatyczne i owocne. Wzajemnie przekazaliśmy zarówno wiedzę o tradycjach tej rodziny, jak również źródła pisane o nich. Na zakończenie naszego osobliwego spotkania zwiedziliśmy dom przy ul. Matki Boskiej Bolesnej, w którym mieszkała Krystyna Bączkowska-Cynke, ostatnia z tej pięciopokoleniowej rodziny limanowskich farmaceutów.

Kolejne spotkanie w Limanowej zaplanowaliśmy na wiosnę 2013 roku.

Fotografie: z „Kroniki Rodzinnej” Głębockich, Kwiatkowskich, arch. albumu „Okruchy pamięci”

Wyrażam podziękowanie Pani Marioli Wilk za przekazane informacje oraz archiwalne fotografie z „Kroniki rodzinnej” napisanej przez ciotkę Ewę Gładysińską.



Mariola z Kwiatkowskich Wilk - praprawnuczka Antoniego Müllera przy grobie rodzinnym Müllerów.



Powyżej: Wzajemna wymiana wiadomości z historii rodziny Müllerów.

Poniżej: Spotkanie w restauracji „Stary Browar” w Limanowej. Siedzą od lewej: Jacek Szumański, obok żona Ewa, Mariola Wilk, Stanisław Ociepka, stoi - Jakub Tokarz.



Limanowskie echa Powstania Styczniowego

Jan Wielek

Największy zryw niepodległościowy w dziejach XIX-wiecznej rozdartej zaborami Polski - Powstanie Styczniowe wybuchło 22 stycznia 1863 roku. Terenem walk zbrojnych, jak i głównych rozgrywek politycznych był zabór rosyjski, zabory pruski i austriacki – czyli teren tzw. „Galicji”, były zapleczem dla powstania, dostarczając broń, umundurowanie, żywność, a także rekruta. Taka rola przypadła też miastu Limanowa i całemu regionowi.

W 2013r. mija okrągła 150. rocznica tych wiekopomnych wydarzeń. Pokażmy więc nasz symboliczny, ważny wkład w ten tragiczny, ale i piękny epizod naszych ojczystych dziejów.

Cofnijmy się jednak nieco w czasie. Przygotowania do powstania objęły wszystkie trzy zabory - w tym również i Galicję. Szczególne bojowe i patriotyczne nastroje – jak to zazwyczaj bywa – reprezentowała młodzież akademicka. W Krakowie w 1862r. powstała Ława Główna Krakowska. Jej liderem był Ludwik Kubala. Według jednych źródeł urodził się w 1838r. w Kamienicy, inne wskazują na Łukowicę. Początkowo nauki pobierał w Szkole Trywialnej w Starym Sączu, później uczył się w gimnazjum nowosądeckim i tamowskim, by na jesieni 1857/58 zostać studentem prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wkrótce jednak przeniósł się do Wiednia, zmieniając kierunek studiów na filozoficzny. Na jesień 1861r. powrócił do Krakowa, kontynuując studia i rzucając się w wir pracy konspiracyjnej.

W czasie przyjazdów do rodzinnej Łukowicy Kubala wciągał do współpracy swych ziomków: Zygmunta Marszałkowicza, Marcelę Żuk – Skarżewskiego, Konstantego Filhausera, Teodora Głębockiego, Konstantego Krobickiego, Józefa Kłodzińskiego, Józefa Szalaya oraz innych. Oni też stali się głównymi filarami uformowanej na początku listopada 1862 r. Ławy Obwodowej Sądeckiej, podporządkowanej Ławie Krakowskiej Głównej. Na czele organizacji sądeckiej stał do chwili aresztowania – tj. marca 1865r. – Marceł Żuk – Skarżewski, rodem z Przyszowej, osiadły w Gródku nad Dunajcem.

Jednym z zadań, jakie podjęła Ława Sądecka Obwodowa, była współpraca z patriotycznymi ugrupowaniami węgierskimi, rekrutującymi się głównie z resztek organizacji polityczno-wojskowych, ocalałych po Wiośnie Ludów. Pracę tę koordynował Zyg-

mund Marszałkowicz – syn Maksymiliana z Kamienicy, który w marcu 1863r. stał się jej pełnomocnikiem na Spisz i Węgry. Wspólnie z Józefem Szalayem ze Szczawnicy i Adolfem Tetmajerem urządzali zjazdy ze szlachtą spiską, a przede wszystkim kupowali broń, odzież i konie. W akcji tej pracował również dziedzic starowiejski – Józef Mars, o czym powiemy później.

Wśród działaczy organizujących pomoc dla powstania styczniowego na specjalne wspomnienie zasługuje ks. Jan Chełmecki, pochodzący ze Żmiącej. Był prefektem Seminarium Duchownego w Tarnowie, członkiem Akademii Katolickiej w Rzymie, profesorem Gimnazjum św. Anny w Krakowie, posłem do sejmu galicyjskiego i do parlamentu wiedeńskiego, a przede wszystkim działaczem niepodległościowym z lat 1846 i 1863. Za swą patriotyczną postawę, nie cieszył się zbytnią sympatią w swych rodzinnych stronach.

W 1846 r. został nawet w Żmiącej aresztowany przez swych ziomków i oddany władzom austriackim. Kiedy prowadzony do więzienia przechodził przez Ujanowicę, wpisał do księgi parafialnej następujące słowa: *Żyję w czasach, kiedy się potępia niewinnych, dlatego też potępiony zostałem nawet przez własnego ojca. O Boże mój, zlituj się nad moim biednym ojcem, nad moją matką, kochanymi braćmi i siostrami. Może ich kiedyś jeszcze zobaczę. Żegnajcie mi szczerzy przyjaciele.* Oskarżony o przygotowanie spisku narodowego wśród kleryków tarnowskiego seminarium skazany został na kilka lat twierdzy. Katorgę przeżył szczęśliwie i w 1863 r. widzimy go z powrotem w Żmiącej, jak u miejscowych foluszników kupuje sukno na mundury dla powstańców styczniowych.



Teodor Głębocki (1845-1900) w mundurze powstańczym.

Osobne miejsce należy się tym, którzy poszli walczyć z bronią w rękę. Tak uczynili bracia Jan i Józef Sas – Bilińscy z Młynnego oraz Mieczysław i Zygmunt Gostkowscy z Męciny.

Zygmunt Gostkowski, syn Bazylego, dziedzica dworu w Męcynie Dolnej, na wieść o powstaniu uciekł z domu i dotarł do oddziału Jabłońskiego. W bitwie pod Iwanowicami, na czele nielicznego oddziału, rozbił zagon nieprzyjacielski, składający się z około 70 dragonów, po czym udał się w lasy staszowskie, aby uzupełnić ekwipunek i dokonać werbunku ludzi. W bitwie pod Żelichną został ranny i tylko dzięki pomocy tamtejszej ludności udało mu się szczęśliwie przedostać do Galicji. Wkrótce został aresztowany i osadzony w krakowskim więzieniu. Po dziewięciu miesiącach powrócił do Męciny, gdzie zmarł w 1875 r.

Jego brat, Mieczysław, przeszedł ten sam szlak bojowy. W boju pod Żelichną, osłaniając przed ciosami swego brata dostał trzy rany od kuli, cięcie pałaszem przez twarz, oprócz tego był okropnie skolbowany i zbity niemożliwie. Przyniesiony przez chłopów na dwór Karola Estreichera znalazł tam opiekę i dłuższe schronienie.

Po częściowym wyleczeniu udało mu się dotrzeć do Łopusznej, gdzie zmarł 20 lipca 1867 r., pochowany został na cmentarzu w rodzinnej Męcinie.

Uczestnikiem powstania styczniowego był również Kazimierz Żuławski, późniejszy właściciel majątku Młynne – Słomiana, ojciec poety i Legionisty Piłsudskiego – Jerzego Żuławskiego (1874-1915). Kazimierz Żuławski do powstania poszedł jako 17-letni student, zaciągając się do oddziału Mariana Langiewicza. Zaraz po pierwszym starciu z Moskalami oddział jego został rozbity. Błąkając się po lasach, dostał szczęśliwie do domu rodzinnego.

Wśród powstańców byli także chłopci. Z Kasinki Małej czynny udział w bojach powstańczych brał wyrobnik – Maciej Widzisz (ur. 1845r.). Służył jako szeregowiec pod Langiewiczem i Czachowskim. Wzięty do niewoli pod Jurkowicami, gdzie też został ranny, przebywał cztery lata na zesłaniu w guberni jakuckiej, a następnie zmuszono go do osiedlenia w guberni tobolskiej. Z Młynnego do powstania poszedł chłop Stanisław Biliński, służył jako strzelec pod Kurowskim i Langiewiczem, brał udział w bitwach pod Miechowem, Chrobrzem i Grochowskimi.

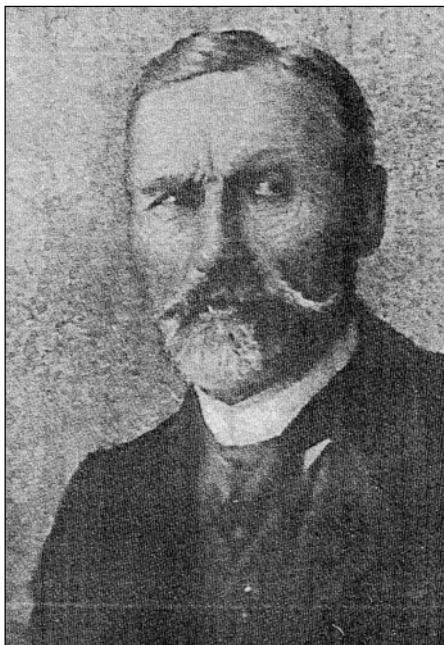
Jak wcześniej pisałem, głównym zadaniem Galicji w dobie powstania styczniowego było organizowanie pomocy dla walczących w postaci dostarczania broni, żywności i mundurów. Jak to wyglądało praktycznie dobrze ilustrują fragmenty pamiętników Józefa Marsa, dziedzica dworu starowiejskiego. W pamiętnikach Mars m. in. zapisał: *Po powstaniu w r. 1863 w Galicji ogłoszony został stan wojenny, robiono więc dochodzenia, aresztowano biorących udział i pomagających powstańcom, a sąd wojenny wydawał wyroki na odsiedzenie w kryminale lub twierdzy, niektórych nawet na lat parę (...). Ja byłem czynny jako naczelnik powiatowy w zorganizowanej w Galicji organizacji pokojowej: Oświata Wolność Narodowa, która poddała się pod władzę rewolucyjną warszawską, zastępowaną w Krakowie przez Ławę Krakowa. Byłem delegowany do robienia rachunków, sprawozdania i kontrolowania kasy Obwodu Nowosądeckiego, zbieranych składek na poparcie powstania. Najważniejsze czynności moje odbywały się w Domu Zleceń w Nowym Sączu przeze mnie założonym i dyrektorowanym (...). Stosownie do zarządzeń władzy*



Ludwik Kubala (1838-1918).



Ks. Jan Chelmecki (1816-1887).



Kazimierz Żuławski (1842-?).

centralnej w Domu Zleceń załatwiano tysiące łokci sukna góralskiego i z tego to część odsyłano, to dawano robić burki, obstalowano tysiące kożuszków – te robili kuśnierze ze Starego Sącza i te do domu zleceń odstawiano, tu otrzymywali na ten cel zakupiony materiał i zapłatę. Robili siodlarze siodła i uprząże na konie dla powstańców, szewcy buty etc.

Te załatwienia nie były jednak tak trudne i niebezpieczne, ale często przybywały bryki z pakami z Węgier – to z bronią, to z amunicją, to ze słoniną i innymi artykułami. To więc trzeba było odbierać, przechowywać, wozić furmankami najmowanymi i do obozów powstańców przesyłać i czuwać na tym, aby schwytanymi nie zostały lub co innego się z przesyłką nie stało. Miałem wprawdzie ludzi dużo przychylnych, ale moim wrogiem był Żyd – naczelnik powiatu nowosądeckiego (...). Odbywały się więc rewizje, przeważnie każdego tygodnia, a czasami nawet po dwa razy w tydzień, to w Domu Zleceń w Nowym Sączu, to w domu w Starej Wsi (dworze Marsa – przyp. red.) pod eskortą wojskową z bagnietami przy drzwiach i przy każdym oknie. Ale ja miałem między urzędnikami ludzi, którzy mnie o każdej odbywać się mającej rewizji zawiadamiali umówionymi znakami. Ja ich znów powiadałem, jak oznaczone jest miejsce, gdzie przechowywane były towary dla powstańców. Idący za rewizją urzędnik tam nie kazał nic szukać. Niektóre zaś przedmioty, jak sukna, burki, kożuszki, buty, siodła, uprząże były wystawione to w okna, to przed biurem jako do sprzedania z przyklepionymi cenami i nie trafił się ani jeden wypadek, aby przy tylu rewizjach coś kompromitującego znaleźli.

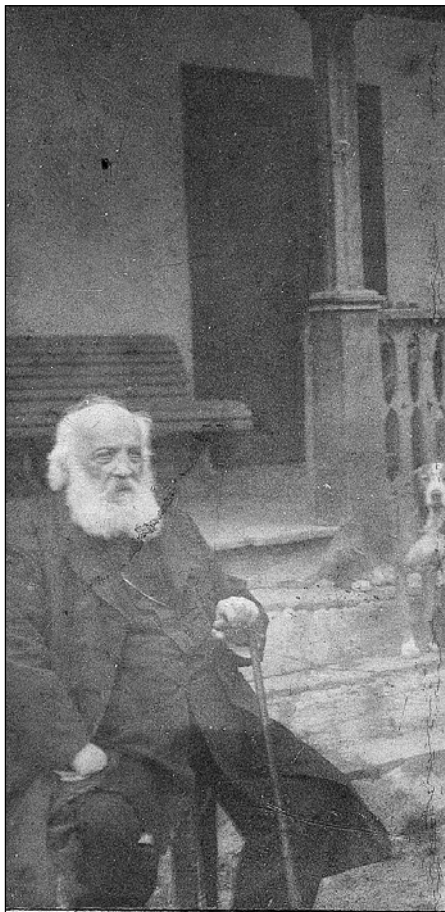
W Limanowej adiunktem sądowym był dr Grodek, Polak, ale wielki lajdak. Ten, by dać dowód swej lojalności dla rządu, spowodował u naczelnika powiatowego – Wicherka, czeskiego Niemca, iż go oddelegował do odbywania rewizji. Ten był u mnie raz, ale też nic nie znalazł, a gdy się mu przypatrywałem w sposób pogardliwy, trząsł się z bojaźni. Tylko podczas rewizji u Konstantego Pieniążka znalazł w spróchniałej wierzbie listę zbieranych składek. Pieniążek był aresztowany i na kilka miesięcy odsiedzenia był zasądzonym.

► Po upadku powstania aresztowany został również i Józef Mars. Od pierwszego wyroku jakoś się wywinął, po prostu opijając sędziący go trybunał. Poniósł jednak koszty ponad tysiąc złotych reńskich. Po upływie jednak kilku tygodni – wspominał po latach: przychodzi do Biura Domu Złeczeń urzędnik starostwa, księgi, papiery bierze i pakuje, biuro i składy każe zamykać i te pieczętuje, a mnie wręcza nakaz, abym się stawiał przed sąd wojenny w Krakowie w biurze kryminalu koło kościoła św. Michała.

Gdy ten nakaz odebrałem dreszcze przeszły po moim ciele, bo nie wiedziałem co się ze mną stanie. Pojechałem jednak i stanąłem przed sądem wojennym – tam przeglądane były księgi, korespondencje i robiono mi różne zapytania a odpowiedzi i tłumaczenia moje w protokół zapisywane były (...) Dochodzenia te ciągly się przez parę tygodni (...)

Pamiętnik Józefa Marsa nie zachował się w stanie kompletnym, nie wiemy więc, jaki zafasował wyrok. Wyszedł ze sprawy chyba cało, bowiem w latach późniejszych prowadził w Limanowej ożywioną działalność gospodarczą i kulturalną (m. in. założył teatr). Dodajmy, że owe perturbacje naszego pamiętnikarza wynikły ze zmiany sytuacji politycznej w Galicji. Władze austriackie z początku bowiem jakby nie zauważyły powstania – po prostu były szczęśliwe, że wszystko dzieje się poza granicami CK. Monarchii. Później jednak dyplomacja rosyjska doprowadziła do ściślejszego współdziałania zaborów i Austria ogłosiła z dniem 29 lutego stan oblężenia w Galicji. Szlachta – bojąc się represji, które i tak nastąpiły – sama zaczęła likwidować bazę zaopatrzeniową dla powstania. Rozpoczęły się rewizje, aresztowania, wyroki. Przyznać jednak trzeba, że wtedy, jak i później Galicja stała się azylem dla wielu powstańców i ich rodzin.

Najstarsi mieszkańcy miasta być może jeszcze pamiętają postać Józefa Bogdanowskiego, legendarnego już dzisiaj, ostatniego powstańca związanego z Limanową. Urodzony w 1840 r., w szeregi powstańcze wstąpił w wieku 23 lat. Po upadku powstania został zesłany na Syberię. Kiedy po odbyciu kary udało mu się powrócić, był tak zmieniony, iż nie poznała go własna matka. Ta – jak chce rodzinna tradycja – uznając go za pro-



Antoni Józef Mars (1819-1905).



Józef Bogdanowski (1840-1931).

szalnego dziada, dała mu pieniądze dattek, prosząc o modlitwę w intencji przybywającego na zesłaniu syna.

Po odzyskaniu Niepodległości w 1918 r., władza polska wszystkim żyjącym jeszcze czynnym uczestnikom powstania styczniowego, przyznała stopnie oficerskie i emerytury. Skorzystał z tego i nasz Bohater. W okresie międzywojennym czynnie uczestniczył w życiu politycznym miasta – ubrany w powstańca „burkę” i odszytą barankiem rogatywkę, był ozdobą wszystkich świąt narodowych, kościelnych i szkolnych akademii. Dożył sędziwego wieku 91 lat, jego pogrzeb, który odbył się 31 stycznia 1931 r. był wielką manifestacją patriotyczną. Pochowany został na limanowskim cmentarzu parafialnym. Grób jego istnieje do dnia dzisiejszego.

Krótki bilans powstania – największego polskiego zrywu niepodległościowego w XIX wieku.

Do kwietnia 1864 r. carat zaangażował do walki z powstańcami ok. 270 tys. żołnierzy, do lipca zaś 340 tys. – praktycznie całą armię! Po stronie polskiej w ciągu 15 miesięcy walki przez szeregi powstańcze przeszło 200 tys. ochotników, a jednorazowo w polu walki w szczytowym okresie lata 1863 r. nie było ich więcej jak 20-30 tys. Liczbę stoczonych potyczek szacuje się na ponad 1200. Bilans powstania obejmował dziesiątki tysięcy poległych i straconych, zesłanych na Sybir, milionowe straty materialne. Zabór rosyjski utracił pewną autonomię, jaką miał przed powstaniem, nastąpiła wzmożona rusyfikacja szkolnictwa i administracji. No i ten wielki moralny kryzys społeczeństwa, które na wiele lat utraciło wiarę w możliwość wyrwania się z niewoli.

Na drugiej jednak szali położyć należy i zdobycze – uwłaszczenia chłopów w zaborze rosyjskim, nie notowane dotąd rozprzestrzenienie się prawdziwych wartości patriotycznych – chłopów i rzemieślników. Twarde rządy carskie zaczęły cementować solidarność polskiego społeczeństwa, a pamięć o przelanej krwi powstańczej przyniosła plon w następnych pokoleniach.

Jest w tym i trochę zasług ludzi z Ziemi Limanowskiej.

Poznaniacy w Limanowej

Niemieccy okupanci bezpośrednio po zniewoleniu ziem polskich we wrześniu 1939 r., a szczególnie po haniebnej inwazji na nasze państwo zdrazieckiego wschodniego sąsiada, rozpoczęli realizację dokładnie przygotowanego planu. Część polskich ziem włączyli bezpośrednio do Rzeszy, a wszelkie urzędy obsadzili swoimi ludźmi.

Taki los stał się także udziałem Poznania, który po zaborze pruskim, walce z germanizacją, dzięki przemyślanym działaniom polskiej administracji odrobił wszelkie zaniedbania i stał się przykładem wszechstronnego rozwoju.

Wróg nie zapomniał Wielkopolsce, a szczególnie poznaniakom, udziału w powstaniach, inicjatyw oświatowych, kulturalnych oraz gospodarczych i powołał tzw. Kraj Warty, którym z ramienia Rzeszy rządził namiestnik mający siedzibę w Poznaniu. Wnet też utworzono (1939 - 1943) obóz przesiedleńczy, przez który przeszło ponad 100 tysięcy Polaków. Część z nich poniosła śmierć w obozach koncentracyjnych i obozie karnym w Żabikowie.

Akcja przesiedleńcza do Generalnego Gubernatorstwa została przeprowadzona w trzech rzutach : w grudniu 1939 r., w lutym 1940 r. i na przełomie wiosny 1940 roku.

W Generalnym Gubernatorstwie znalazło się około 250 tysięcy ludzi z samego Poznania, a ponadto 10 tys. z powiatu. Pierwszy pociąg wysiedleńców przyjechał do Limanowej 13 grudnia 1939 r. tuż przed Bożym Narodzeniem. Zakwaterowano ich tymczasowo w szkole podstawowej, a sołtysi i wójtowie otrzymali polecenie wyszukania dla nich mieszkań w ciągu 3 dni.

Było to bardzo trudne zadanie, bo mieszkań w mieście i okolicy nigdy nie było za dużo. W dodatku wśród wysiedlonych przeważały rodziny z killkorgiem dzieci. Na dobitkę złego chwyciła sroga zima z mrozami i dużymi opadami śniegu i ani myślała ustąpić. Z powodu niskich temperatur ferie zimowe zaczęły się wcześniej i tylko dlatego w budynku szkolnym było miejsce dla przybyszów. Nie mogli jednak pozostać tam przez święta, bo potrzebne były pomieszczenia z kuchniami, by można było ugotować gorący posiłek.

Udało się jakoś, chociaż z trudem, umieścić przyjezdnych w różnych domach nie tylko w samej Limanowej, lecz także w pobliskich wioskach.

Przybyszów z następnych transportów umieszczano głównie na wsiach przede wszystkim z tego powodu, że trzeba było ich żywić, a mieszkańcy miasta żywności nie mieli.

Przesiedleńcy, zwani powszechnie poznaniakami, byli ludźmi bardzo różnicowanymi. Niektórzy posiadali wykształcenie, wielu konkretne zawody, ale byli też bez żadnych kwalifikacji. Należy jednak

podkreślić, że wszyscy pragnęli pracować, nie mieli wymagań, szukali zajęcia, pomagali rodzinom, które ich przyjęły i umieli okazać swoją wdzięczność. Tym samym transportem wysiedlonych z Poznania przyjechał rektor Uniwersytetu Poznańskiego im. A. Mickiewicza w latach 1929-1931, Stanisław Kasznica. Wraz z rodziną byli oni przez krótki czas gośćmi majątku Mordarka u rodziny Gibasów, których syn Tadeusz przed wojną był studentem prof. Kasznicy w Poznaniu. Spośród poznaniaków przebywających „czasowo” w Limanowej był również dr Stefan Śliwiński urodzony w Kórniku. W młodości uczestniczył w Powstaniu Wielkopolskim, a po

odzyskaniu niepodległości i skończeniu studiów dziennikarskich pracował aż do wybuchu wojny w redakcji „Kuriera poznańskiego”. Po powrocie z kampanii wrześniowej, obawiając się represji za poglądy wyrażane w prasie, opuścił Poznań, by po krótkim pobycie w stolicy zamieszkać w Limanowej.

Podjął pracę w Spółdzielni Rolniczej „Kosa”, został wnet jej dyrektorem i utrzymywał kontakty z walczącym podziemiem. Wtedy to poznał i zaprzyjaźnił się z artystą malarzem Wincentym Gawronem, który ofiarował mu drzeworyt „Żołnierz z karabinem pod dębem” ze specjalną dedykacją i obraz olejny przedstawiający widok rozciągający się spod dębu rosnącego przed domem siostry artysty Marii Biernat mieszkającej w Mordarce. Stefan Śliwiński pomógł zorganizować przy Spółdzielni Rolniczej „Kosa” rolniczą szkołę średnią pod pozorem kursu przygotowawczo-handlowego. Po zakończeniu działań wojennych wrócił do Poznania, by kontynuować pracę wydawniczą.

Kierownikiem szkoły podstawowej, limanowskiej „jedynki” od września 1940 r. został poznaniak Józef Kuchejda. Państwo Kuchejdowie zamieszkali w domu pp. Leśniowskich (przy ulicy prowadzącej do cmentarza). Mieli 4 dzieci -Jadwigę, Zofię, Marka i Janusza, który wówczas był niemowlęciem. Pani Kuchejdowa, chociaż była nauczycielką, zgodnie



Limanowscy nauczyciele tajnego nauczania na Jabłońcu - 1940 rok. Siedzą od lewej: Stanisław Ceglarski, ks. Jan Rachwał, Józef Kuchejda, Władysław Oleś, Antoni Bieda, Jan Kalisz.

z zarządzeniem władz niemieckich nie mogła podjąć pracy. To dotyczyło wszystkich żon nauczycieli.

Uczęszczałam do klasy z Zofią Kuchejdzianką i pragnę podkreślić, że była to wspaniała koleżanka, bardzo tolerancyjna, pozbawiona wszelkiej zawiści. Nie uznawała żadnych różnic pomiędzy uczniami i nie rozumiała animozji wynikających z pozycji majątkowej rodziców, co w małomiasteczkowym środowisku często miało miejsce.

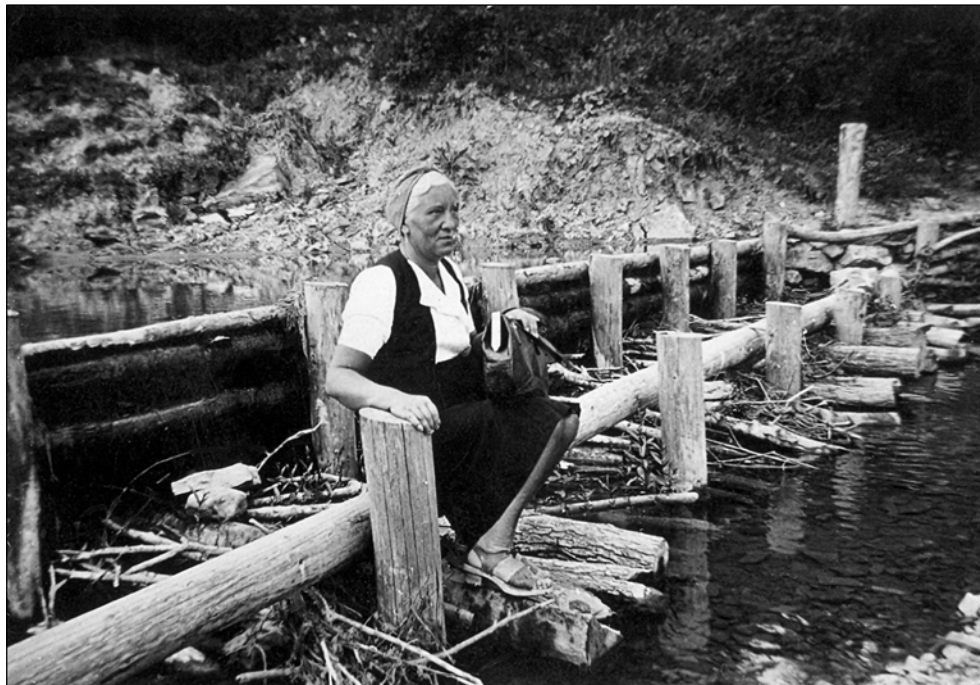
Pan Kuchejda ogromnie pomagał ludziom. Ponieważ biegle władał językiem niemieckim, pisał zainteresowanym podania do władz w różnych sprawach (zmniejszenia kontyngentów, przesunięcia terminu oddania bydła na rzeź, udzielenia urlopu osobom wywiezionym na przymusowe prace do Niemiec itp.). Włączył się również do tajnego nauczania. Po wojnie, w 1945 roku wrócił do Czechowic-Dziedzic na stanowisko dyrektora Szkoły nr 3 im. J. Słowackiego.

Przy ul. Sądeckiej (dzisiaj Kościuszki) w domu nauczycielki p. Bocheńskiej zamieszkała rodzina Mrozikiewiczów z krewną Hanną Furmanowicz. Hanna była piękną dziewczyną, toteż wielu limanowskich chłopców chciało zapewnić sobie jej względy, ale z ich zabiegów nic nie wyszło. Panna była uprzejma, ale niedostępna.

Opiekunowie Hanny umieli znaleźć swoje miejsce w nowej sytuacji. Objęli dobrze prosperujący sklep żydowski z tekstyliami i nie odczuwali skutków przesiedlenia. Zaraz po wojnie, tak jak inni poznaniacy, opuścili Limanową i wrócili w rodzinne strony. Hanna korzystająca w naszym mieście z nauki w tajnych kompletach, potem ukończyła w Poznaniu studia i została żoną aktora Nalberczaka.

Pośród poznaniaków mieszkających w Limanowej był także profesor łaciny i j. niemieckiego - pan J. Chrobaczek. Oficjalnie pracował w Zakładach Remontowych Taboru Kolejowego w Nowym Sączu. Nieoficjalnie uczył łaciny w tajnych kompletach. Pomagał organizować średnie szkolnictwo w naszym mieście. Uczestniczył w pierwszym posiedzeniu Rady Pedagogicznej otwartego gimnazjum i liceum w dniu 21 lutego 1945 roku i uczył w nim do końca szkolnego roku. Potem wyjechał.

Osobiście zapamiętałam rodziny Rurków i Ławniczaków, bo zamieszkały Podjabłońcem w domku przy trasie pro-



Stanisława Jackowska na kładce na Potoku Starowiejskim obok „Siwego Brzegu” - 1941 rok.

wadzącej przez Gwizdówkę do Nowego Sącza, a zatem blisko mojej rodzinnej sadyby. Choć zajmowali wspólnie tylko jeden pokój, to byli na swój sposób szczęśliwi, bo do pomieszczenia prowadziło oddzielne wejście prosto „z pola”. Obok stała niewielka szopa, w której mogli przechowywać swoje skromne zapasy i hodować w klatkach króliki, a w małym ogródku uprawiać warzywa.

Państwo Rurkowie byli już w podeszłym wieku. Kiedyś p. Rurka był gospodarzem dużej kamienicy w Poznaniu i tuż przed wojną przeszedł na emeryturę. Mieli jedyną córkę „Właduchnę”, która wyszła za mąż za dobrego fachowca - ślusarza p. Ławniczaka i spodziewała się potomstwa, gdy niespodziewanie wybuchła wojna i zły los wyrzucił ich z rodzinnego miasta.

Przywiezieni w pierwszym transporcie do Limanowej dostali razem z teściami wspólny choć ciasny kąt, ale mimo nieszczęścia starali się myśleć pozytywnie. Byli pewni, że skoro są razem, zwalczą każdą niedolę. Zięć otrzymał pracę w Zakładach Kolejowych w Nowym Sączu, ponadto chętnie pomagał sąsiadom, za co otrzymywał zapłatę w artykułach żywnościowych. Teść również dorabiał drobnymi naprawami w różnych domach i życie jakoś się toczyło.

Złe fatum nie mogło widać zdzierzyć rodzinnego szczęścia i uderzyło dwa razy. Najpierw Władysława Ławniczak zmarła przy porodzie, bo brakło lekarza. Małutki synek żył jeszcze przez kilka tygodni pod troskliwą opieką babci, ale był

watłym dzieckiem i niestety, wnet podążył śladami matki. Mimo nieszczęścia rodzina „nie dawała” się biedzie. Tak było do momentu, gdy zięć znalazł sobie nową panią serca. Ożenił się z młodą wdową i zamieszkał u jej rodziców na Woli. Czasem odwiedzał byłych teściów, ale miał już nowe obowiązki i musiał im sprostać.

Państwo Rurkowie - obydwójce przytłoczeni wiekiem i nieszczęściami pragnęli tylko jednego - wrócić chociaż na krótko do rodzinnego miasta.

Pod sam koniec wojny fatum uderzyło po raz trzeci. W bezpowrotną drogę odszedł p. Rurka. W ostatniej drodze towarzyszyło mu wiele osób, bo w tym krótkim czasie zdobył serce swoich sąsiadów.

Po wyzwoleniu p. Rurkowie chciała wrócić do Poznania, ale nie miała sił i pieniędzy na bilet. Na szczęście odnalazła ją siostra i przyjechała do Limanowej, aby ją zabrać „do domu”. Sterana życiem kobiecina pożegnała się ze wszystkimi sąsiadami i prosiła o opiekę nad grobami córki i męża. Do pociągu odprowadziła ją spora grupa kobiet. Każda wręczała jakiś drobiazg, by miała od czego zacząć w nowym miejscu. Po paru miesiącach przyszła wiadomość, że dołączyła do swoich bliskich pozostających już wcześniej w innym wymiarze. Były zięć także opuścił limanowskie strony.

Z innych poznaniaków przebywających w czasie wojny w Limanowej należałoby wymienić rodzinę Piorunów przygarniętą przez p. Wątrobę-Puch, a także rodzinę Jackowskich. O tej pięcioosobowej rodzinie wysiedlonej z Po-



Barbara Jackowska (Jednac), na tle domów Bednarzów i p. Leśniakowej na „Kamieńcu”.

znania pierwszym transportem w grudniu 1939 roku pisał Stanisław Ociepka w „Echu Limanowskim”, w artykule zatytułowanym „W 70. rocznicę wysiedleń Polaków z Wielkopolski (EL nr 182-183 listopad-grudzień 2009 rok).

W Limanowej mieszkało wiele osób wysiedlonych z Poznania, ale czas zatarł ich ślady, a złudna pamięć pogubiła nazwiska. Od tamtych żalosnych przesiedleń minęły już 73 lata. W niebyt odeszli nie tylko ci, którzy musieli opuścić swoje rodzinne gniazda, ale także udzielający im kąta i pomagający przetrwać.

Sprawiedliwość nakazuje wspomnieć o rodzinie pp. Chudych mieszkających Podjabłońcem, która otwarła serce dla potrzebujących i mimo iż w domu było 7 osób, a do dyspozycji tylko pokój z kuchnią, przyjęła poznańską gromadkę składającą się z rodziców i trójki dzieci. Przybysze mieszkali tam 2 lata. Potem znaleźli kąta i pracę w Nowym Sączu i pożegnali zacnych ludzi.

Najmłodsza córka poznaniaków po powrocie do rodzinnego miasta długo jeszcze korespondowała z opiekuńczą rodziną, by udowodnić, że otrzymanego dobra nie należy zapominać.

Oprócz Limanowej umieszczano również wysiedleńców w dalszych miejscowościach jak np. w Łososinie Górnej, Rupniowie, Walowej Górze czy Pasierbcu, bo chociaż tam, szczególnie w dwóch ostatnich wsiach było bliżej do nieba niż do chleba, to ludzie tam mieli czułe serca i nie pozwolili nikomu zginąć z głodu.

I tak np. rodzina p. Stanisławy Piórkowskiej z Walowej Góry „przytuliła do

siebie” przestraszoną złym losem matkę z córką, które znalazły się w obcej stronie prawie „bez niczego.” Choć w domu bogactwa nie było, zapewniła im kąta i niezbędne wyżywienie. Sąsiedzi pomagali według swoich możliwości i „podrzucali” czym chata - bogata.

Na Pasierbcu zamieszkało także kilka poznańskich rodzin. Pan Stanisław Ptaszek - autor monografii „Pasierbiec wieś z bogatą historią” wspomina, że byli to bardzo biedni ludzie. Niewiele z sobą przywieźli odzieży, a to, co udało się zabrać, wnet się zniszczyło, bo wojna trwała długich 5 lat. Żywnością dzielili się z nimi mieszkańcy, choć sami rozkoszy nie mieli, bo okupant już w pierwszym roku trwania wojny zakazał przemiału zboża w żarnach, od których kamienie należało odwieźć do sołtysa. Mielono więc nocą w szopach i piwnicach, by zapewnić sobie mąkę na chleb lub kluski. Dzielono się z poznaniakami tym, co było w domu. Gorzej przedstawiała się sprawa z odzieżą, bo tej nie można było kupić.

Wysiedleńcem mieszkającym na Pasierbcu był także ksiądz kanonik Jan Bałys, który pochodził z Tomic koło Wadowic, ale posługę duszpasterską pełnił w parafii Siemianówka w archidiecezji lwowskiej, skąd został wysiedlony wraz z polską ludnością przed zbliżającym się frontem sowiecko-niemieckim. Osiadł na Pasierbcu i zaopiekował się kaplicą Matki Bożej Pocieszenia, odprawiając w niej codziennie nabożeństwa dla miejscowej ludności. Do tego to biednego kapłana udał się o wsparcie jeszcze biedniejszy poznaniak.



Stanisława Jackowska z warszawianką, której mąż zginął w Katyniu, na ulicy Piłsudskiego.

Pan Ptaszek pisze o tym tak: „Kiedy jeden z nich (poznaniaków) przyszedł do niego z prośbą o wsparcie w bieliznę, pomimo że miał tylko dwie koszule, podarował mu jedną i to lepszą”¹.

Łatwiej było przeżyć ten straszny czas, gdy się miało konkretny zawód, który można było wszędzie wykorzystać. Tak było w przypadku Leokadii Grodzieńskiej, którą los rzucił także na Pasierbiec. Zamieszkała w osiedlu Stara Karczma u rodziny Łuszczaków. Była dobrą krawcową i to jej pozwoliło przetrwać. Szyła, przyszywała, skracała, podłużała i łątała starą odzież, za co otrzymywała żywność, czasem parę groszy i to jej pozwoliło dożyć do wyzwolenia.

Na wiosnę, tuż po wyzwoleniu Wielkopolski, ruszyła fala powrotów. Wszyscy poznaniacy zdążyli do swoich gniazd jak wędrownie ptaki. Po ich wyjeździe poczta dostarczała bogatą korespondencję, potem więzy się rozluźniały, bo trzeba było zająć się budowaniem życia od nowa, co wymagało starań i wyrzeczeń. Niektóre przyjaźnie trwały aż „po grób”. Do takich na pewno należała przyjaźń między p. Hanną Nalberczakową (Furmanowicz), a p. Marią Gawron (Król). Przetrwała aż do odejścia tej ostatniej w ostateczną drogę w 2001 roku, czyli 56 lat.

Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”, ze zbiorów Barbary Jednac (wysiedlonej w 1939 r. z Poznania)

¹ Stanisław Ptaszek - Pasierbiec wieś z bogatą historią, Pasierbiec 2010

Serdecznie dziękuję za pomoc w zebraniu materiału Państwu: Annie Jasica, Wincentemu i Stanisławowi Gawronom, Januszowi DREWNIAKOWI i Stanisławowi PTASZKOWI.



**BANK SPÓŁDZIELCZY
W LIMANOWEJ**



Potrzebujesz gotówki?

WSPARCIE GOTÓWKOWE

Kredyt okolicznościowy
z wyjątkowo niskim
oprocentowaniem.

- + wysoka kwota kredytu – do 30.000 zł,
- + brak opłaty przygotowawczej,
- + okres kredytowania – nawet do 36 miesięcy,
- + błyskawiczna decyzja kredytowa,
- + wypłata środków nawet w 1 dzień,
- + oprocentowanie od 10,5% - 12,5%,
- + niskie raty.

Przykład reprezentatywny dla kredytu okolicznościowego o nazwie „Wsparcie Gotówkowe” – kredyt na Święta i Nowy Rok
RRSO dla reprezentatywnego przykładu wyliczonego na dzień 20.11.2012r. wynosi 18,95% przy następujących założeniach: całkowita kwota kredytu 3.342 zł spłacana w 17 miesięcznych ratach
kapitałowo-odsetkowych: 16 x 215,49 zł i 1 x 216,04 zł, stopa oprocentowania kredytu – 12,50 % w stosunku rocznym, całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta 3.780,85 zł,
w tym: całkowita kwota kredytu – 3.342,00 zł, całkowity koszt kredytu – 438,85 zł, na który składają się: odsetki – 321,88 zł, prowizja za udzielenie kredytu – 116,97 zł oraz opłata przygotowawcza – 0 zł.
Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks Cywilny.

zobacz więcej na www.bs.limanowa.pl





ISO 9001

Sp. z o.o.

biuro@impuls-psb.pl

www.impuls-psb.pl

**Kupuj tylko sprawdzony węgiel
z kopalni KWK Wieczorek i KWK Mysłowice**

Do każdej tony Orzecha II
dopalacz sadzy
GRATIS !!!

Impuls Skład opału ul. Kolejowa

Tel. 18 337-15-04, 694-423-171